RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



Pomnik dla uczczenia Francuzów poległych w czasie wojny nad Mozelą.

WARSZAWA

ROK VI PAŹDZIERNIK—1932

ZE ŚWIATA RADJA

OSTATNI WYWIAD Z PORUCZNIKIEM FRANCISZKIEM ŻWIRKO.

(36 godzin przed Tragedją Cieszyńską).

Przedstawiciel naszej Redakcji, prosząc o wywiad por. Żwirkę — nie dokończył swej pracy...

Podajemy niedokończony wywiad, uważając, że wszystko, co czuł i myślał Bohater, jest własnością ogółu.

Spotkanie nasze umawialiśmy w przeddzień lotu do Deblina — przez telefon.

— Poruczniku kochany — powiadam — nie śmiałbym dla nasycenia własnej ciekawości i zaszczytu rozmowy z panem, ale pojmuje pan, przecież tysiące serc bija dziś dla pana niekłamanem uczuciem... Chcą wiedzieć o panu jak najwięcej — i czytelnicy gazet i radjosłuchacze polscy...

— Ależ dobrze. Wcale się nie wzbraniam — odparł szczerze i prosto. Spotkajmy się w Klubie. Będę tam zaraz po powrocie z Dęblina, choć nie wiem o której godzinie... A może lepiej będzie już po powrocie z Wilna? Będę miał wtedy więcej czasu, aż do następnego lotu.

Zgadzałem się na wszelkie terminy i godziny, pod warunkiem, że znajdzie dla mnie trochę czasu. I znalazł. Zastałem go jak z najbliższym pomocnikiem swym w rzeczach kronikarskich, p. Sobolem, porządkował notatki z Challenge'u. Był, jak to się mówi „w cywilu". Ciemny garnitur marynarkowy zdobił Złoty Krzyż Zasługi.

Podbiegł do mnie natychmiast. Uścisnął mi rękę, jakby mnie zdawna oczekiwał. Nawzajem uściskałem jego dłoń męską, silną z uczuciem dumy. Z jego ogorzałej od wiatru i słońca czerstwej, wygolonej twarzy i wysokiego czoła, promieniowała ujmująca prostota. W oczach patrzących szeroko, jakby z wyrazem oczekiwania czegoś i zaciekawienia, można było wyczytać zmęczenie. Nic dziwnego: ten znakomity lotnik w skromności swej zapewne nie przeczuwał, ile to obowiązków spadnie na niego ze zwycięstwem.

— Jeszcze pięć minut, a jużby pan nas nie zastał — powiedział z uśmiechem.

Znaczyło to, że ma czas policzony, należało się śpieszyć.

— Panie poruczniku, jak pan się czuł po swem świetnem zwycięstwie dla Polski przed mikrofonem radjowym w Berlinie, skąd na całą Polskę i świat szeroki rozgłoszono pańską i Polski sławę?

— Czy ja wiem? Przy pomocy Boskiej jakoś tam poszło: i Challenge, i to radjo w Berlinie. Owszem, przyznam się, że miałem tremę — przecież to była moja pierwsza przemowa do całego świata, a do tego w Berlinie — po polsku. Już kiedy mówiłem, miałem uczucie niepewności: czy aby moje polskie słowa przejdą dobrze przez niemiecki mikrofon? Ale zacne miny moich szlachetnych współzawodników — Possa i Morzika — całą tę śmieszność rozwiały. Była to dla mnie chwila wzruszająca — chciało się zawołać coś do żony i synka, aby się nie spóźnili ze słuchaniem. Chociaż nie byłem pewny, czy oni tam w domu wiedzieli, że ja wziąłem w Challenge'u nagrodę i że mam o tem mówić przez radjo. Trudno zresztą spamiętać wszystko, co wtedy czułem.

— Więc to prawda, że rodzina pana słuchała transmisji radjowej z Berlina i była jedną z pierwszych w Warszawie, które usłyszały, jak wymawiano nazwisko pańskie, jako triumfatora?

— A słuchali. Owszem. W naszym domu radjo lampowe, to przecież nieodzowna część urządzenia mieszkania — kolega Sobol może potwierdzić, bo był u nas i widział. Zresztą w takim Deblinie niepodobna sobie wyobrazić życia bez radja.

— A w jakim stopniu korzystał pan z radja w czasie Challenge'u?

— Poza transmisjami w Berlinie i Warszawie, które były już pozakonkursowem zakończeniem raidu, niewiele mógłbym w tej chwili powiedzieć. W Warszawie „Polskie Radjo" wzięło nas w ogień aż dwóch mikrofonów. Nie zdołam opowiedzieć, co się wtedy z nami działo. Prawie potraciliśmy głowy. Pamiętam, że do mikrofonu mówiono za nas. W olbrzymim tłumie usiłowałem przedewszystkiem wypatrzeć żonę, dziecko i przyjaciół. Przyznam się, że miałem obawę o samolot, na który tłum napierał. Zdążyłem zaraz po wyskoczeniu powitać żonę i naszego Henia. Ludzie klaskali i on też. — Powiedział, uśmiechając się, porucznik Żwirko.

— Serce łomotało we mnie... — ciągnął dalej — co mogę panu więcej o tem powiedzieć? Potem nas ponieśli — i mnie i Henia — koledzy, przyjaciele... Nie myślałem, że mnie nieść będą.

Gdy to mówił porucznik Żwirko w oczach błyszczały mu ognie.

— A jak się pan czuł w Wilnie?

— Nie mogłem się nacieszyć moimi wilnianami. Tak się ten Challenge szczęśliwie skończył. Wiele czynników złożyło się na nasze powodzenie. Nasze kierownictwo Challenge'u, konstrukcja aparatu — Rogalski-Wigura-Drzewiecki (RWD), warunki atmosferyczne, dobór ekip, wyposażenie techniczne — dziękowaliśmy Bogu w Ostrej Bramie... Wszystko jest w Jego rękach...

— Poruczniku, mówił pan w Wilnie przez radjo, czy zechciałby pan coś o tem powiedzieć?

— Mówiłem, dziękowałem swoim wilnianom za tyle serca, apelowałem do młodych, aby rozwijali szybownictwo — najpiękniejszą postać lotnictwa sportowego. Radjostacja wileńska sprawiła mi bardzo miłą niespodziankę — radjowa Ciocia Hala ofiarowała mi kilka powiastek w kolorowych książeczkach dla mego Henia. Bardzo proszę, może pan zapewnić Ciocię Halę, że Heniowi doręczyłem wszystko, jak poleciła — mówił z widocznem rozczuleniem orzeł o swem orleciu.

— Reszta po powrocie z Pragi...

Czas uciekał. Wyczuć mogłem, że porucznik Żwirko śpieszy się znowu dokądś, więc rzuciłem jeszcze kilka pytań bardzo istotnych — o znaczeniu komunikacji radjowej, telegraficznej i telefonicznej w lotnictwie. A na to porucznik Żwirko:

— Uważam, że bez radja nie można myśleć o lotach na większych przestrzeniach. Wprawdzie dziś urządzenie nadawcze możliwe jest tylko w aparatach wielkich i sterowcach, bo to jest obciążenie duże: z powodu tego obciążenia niektórzy lotnicy transatlantyccy nie brali aparatury nadawczej, ale to były loty doświadczalne — brawurowe. W lotach praktycznych — dalszych — komunikacja radjowa jest niezbędna. A i w praktycznej nauce lotniczej radjo jest niezbędne, naprzykład w ćwiczeniach zbiorowych, kiedy musi być koordynacja ruchów — komendę w akrobacjach można podawać jedynie przez radjo. A sygnalizacje o zmianach atmosferycznych? Jak inaczej można ją podać samolotowi, który jest w

(Dok. na 4-tej str. okładki).

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI

ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 3	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2,50 zł. Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VI. WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1932



Defilada sztandarów 32 państw na Olimpjadzie w Los Angelos.

POLSKA I ROSJA

Zawarcie polsko-sowieckiego paktu nieagresji zwróciło uwagę na kwestję stosunków Polski z Rosją.

Rozumiemy, że Rosja sowiecka zainteresowana wielce w sprawie zatargu chińsko-japońskiego, który mógłby ją nawet zaangażować w konflikt zbrojny, musiała postarać się o zabezpieczenie tyłów. Była to jedna z najpoważniejszych pobudek tak szybkiego dojścia do skutku wspomnianego paktu.

Tem niemniej ostatnie lat pięć zaznaczyło się wyraźnie w polityce polsko-rosyjskiej tendencją ku zbliżeniu, czego dowodem były toczące się oddawna rokowania pokojowe.

Jest wiadomem, że polityka polska ma wybitnie pokojową tendencję. Wynika to zarówno z historycznego charakteru jak i z aktualnych okoliczności politycznych i gospodarczych, w których Polska bytuje.

Inna rzecz, iż — jak to podkreślają wybitni historycy — los rzucił Polskę między Niemcy i Rosję, które zawsze umiały się w decydującym momencie porozumieć na zgubę Polski.

Niewątpliwie więc pożyteczną i miłą dywersją jest, że wbrew temu, co wiemy o rozbiorach Polski, dokonanych solidarnie przez Niemcy i Rosję, wbrew duchowi Rapalla, doszło do politycznego porozumienia polsko-rosyjskiego. Odwraca ono niebezpieczeństwo współdziałania Niemiec z Rosją przeciw Polsce, przynajmniej in pactis, a przez to zagrożenia pokoju europejskiego.

Niemcy od strony dalszego wschodu straciły wygodny rezonans dla swych antypolskich pogróżek.

Aby zrozumieć znaczenie paktu w jego konsekwencjach dalszych, należy rzucić okiem na historję stosunków polsko-rosyjskich. Rosja od czasów Piotra W., który wybił jej okno do Europy, konsekwentnie parła na zachód, oczywiście kosztem Polski. Wojna 1914 r. była nowym tego etapem, ostatnim zaś rok 1920, kiedy to bolszewicy dotarli pod Warszawę.

Wybuch wojny światowej stanowił maximum nasilenia imperjalizmu rosyjskiego dawnego carskiego typu. Lwów i Kraków — to były nowe słupy graniczne jego ambicji.

Nowy typ imperjalizmu bolszewickiego, rzeczywiście o całe niebo przerasta swą megalomanją carski reżym. Śni mu się przecież widmo pożaru rewolucji światowej. W r. 1920 usiłowała ją zrealizować czerwona Moskwa ręką zbrojną. Po klęsce 15-go sierpnia zrezygnowała. Tem niemniej kocioł bolszewicki jest wciąż pod parą. Wciąż buchają zeń trujące gazy ideowej propagandy, która pokrywa szkodliwa rdzą organizmy ludów europejskich. Wystarczy powiedzieć, że w takich Niemczech jest 89 posłów komunistycznych z łaski 5300.000 wyborców, gdy np. takie katolickie Centrum otrzymało tylko 75 posłów i 4700.000 głosów. Klara Zetkin, „prababka rewolucji", dokonywując jako najstarsza wiekiem otwarcia parlamentu Rzeszy, na co specjalnie przyjechała z Moskwy, przepowiadała emfatycznie koniec starych Niemiec... L'apetit vient en mangeant... A trzeba stwierdzić, że ilość zwolenników komunizmu w Niemczech rośnie.

Oczywiście to, co się dzieje w Rosji świadczy o daleko idącej ewolucji w łonie komunizmu, zarówno ideowej jak i praktycznej. Już przecież Lenin odrzucił Marxa. Dziś następcy jego, a zwłaszcza Stalin odrzucają Lenina.

Zostaje oczywiście szyld i sztandar komunistyczny, którego urok zwłaszcza na eksport działa uwodzicielsko na bezrobotne masy.

Ale czas jest sprzymierzeńcem. Dokonywujące są przemiany na terenie Rosji sowieckiej w kierunku powrotu do dawnej gospodarki, załamanie się ideowego zapału mas, które nie mogą przecież żyć „permanentną rewolucją" — robi swoje. Z drugiej strony zbliżający się moment gospodarczej regeneracji Europy zniweluje napięcie niezadowolenia w masach. Zdrowy rozsądek zwycięży.

Rewolucja może rozejść się po kościach. Zwłaszcza, że jej triumfy w praktyce życia rosyjskiego doprawdy nikomu nie imponują. I wielu dziś pyta, czy cała gra warta była świeczki.

Na tem tle zastanówmy się teraz nad lansowaną koncepcją t. zw. krucjaty antysowieckiej.

Są w krajach zachodnio-europejskich elementy, które myślą o zlikwidowaniu Sowietów siłą. Pobudki do tego są może nietyle natury ideowej, jak polityczno-gospodarczej.

Wiemy wszyscy, że propaganda bolszewicka o wiele szkodliwszą i dokuczliwszą jest w krajach Dalekiego Wschodu, w Chinach, Indjach, Małej Azji. Z drugiej strony Sowiety jako producent surowców nafty (akcja Deterdinga), zboża i t. p. wywracają zupełnie rynki światowe, gdyż podstawą ich ekspansji nie są przecież względy gospodarki kapitalistycznej, lecz motywy ideowe.

Wszystko to kością w gardle musi stać mocarstwom światowym, zwłaszcza zaś Anglji, najbardziej bezpośrednio zainteresowanej. Stąd idea krucjaty. Dla jej wykonawców trzeba zaangażować przedewszystkiem państwo, które możliwie najbliżej sąsiaduje z Rosją sowiecką.

Jak wiemy propaganda sowiecka stale wskazywała na Polskę, jako na bazę operacyjną tej akcji. Obecnie po pakcie nieagresji sprawa ta odpada.

Natomiast wysuwa się inna koncepcja: Niemcy jako motor ajens. Żeby to zrozumieć, trzeba przeprowadzić następujący sologizm. Jak wiadomo Niemcy były związane z Sowietami traktatem w Rapallo. Zawierał on tajne klauzule, dotyczące akcji wojennej. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że 1° Niemcy i Rosja mogą mieć i zawsze jak historja udowadnia miały wspólny interes wobec Polski, 2° Niemcy stale domagają się rewindykacji t. zw. ziem zabranych (Gdańsk, korytarz etc.) — to zrozumiemy cały sens traktatu w Rapallo. Pakt polsko-sowiecki przekreśla wszystkie niemieckie nadzieje zbudowane na Rapallo. Stąd kwaśne miny na Wilhelmstrasse. Ale dochodzące obecnie do głosu Niemcy monarchistyczne Schleichera i Papena mają już nowy plan. Chcą zawrzeć rodzaj Rapallo z mocarstwami Zachodu. Za cenę pójścia przeciw Sowietom będą się domagać rewizji granic z Polską.



Puławy. Świątynia Sybilli.

Jak widzimy z Rosją czy przeciw Rosji Niemcy mają zawsze interes przeciw Polsce.

To oglądanie się za możliwością ekspansji imperjalistycznej jest poniekąd zrozumiałe na tle wewnętrznej sytuacji Niemiec. Są one rozdarte krwawemi walkami politycznemi. Rozagitowanym, głodnym masom niemieckim trzeba dać cel, któryby je zjednoczył. Rozdarcie społeczeństwa w wojnie bratobójczej skończyć się może tem, czem się skończyło w Chinach... A więc lepiej już wojna przeciw Sowietom, ze szkodą Polski napewno.

Są to zapewne częściowo paradoksy logiki politycznej, ale tem niemniej ilustrują one tę trudną rolę, jaką ma do spełnienia Polska, położona między odradzającą się monarchją niemiecką a krajem permanentnej rewolucji **Red.**

DROGI CIERNIOWE

Wszak jesteś tak ogromny,
o Chryste, Chryste biały,
że zmieścić Ciebie, ogarnąć
nie może wszechświat cały.

Jak pojąć ten cud nad cudy,
brzmiący w zaraniu hejnałem,
żem Ciebie zmieścić zdołał
w mem ludzkiem sercu małem?

I wszystką miłość mi odjęto,
jak w suchym gruncie soki drzewu,
z koroną czarną i uschniętą
stoją na skwarze bez powiewu.

I skamieniała żywa miazga,
miłość nie spływa, jak ulewa...
cóż pozostaje? Jako drzazga
spalić się w ogniu, co ogrzewa
tych, co zziębnięci, co zmęczeni...
spłonąć doszczętnie i ofiarnie.

Wyrywałem ciężki ból, jak karcze,
uciekałem do najgłębszych nor,
próżno się broniłem chłodem — tarczą —
biegł przedemną, jak bezkresny tor.

Widząc, że do końca nie odleci,
że nie skryje mnie ni rów, ni haszcz,
śmiało sam wyszedłem mu naprzeciw,
jak smokowi — prosto na sto paszcz!

I bez drgnienia z własnowolną zgodą
szedłem rzucić się w Baala żar...
Nagle paszcze buchnęły w twarz ochłodą,
zeszła cisza — śniony w mękach dar.

W dniach ucieczki i buntownej wojny
jeżył się dokoła miljon ostrz —
teraz skwitło każde w kwiat ukojny,
gorycz się zmieniła w winny moszcz.

Schodzisz na ołtarz Twój ubogi,
schodzisz aż ku mnie szlakiem tęczy
i rzucam pod Twe święte nogi
blado-różowych róż naręcze.

Klęcząc, wspominam modlitewnie,
że rwałem je z kolcami w walce
i że nie oschły na nich pewnie
krwi krople od pokłutych palców.

Anna Zahorska.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

ŹRÓDEŁKO ZŁA.

Istnieją na świecie nietylko wielkie źródła, sączące zło do dusz tysięcy i tysięcy ludzi. W szerokiem cieniu życia biją także źródełka zła.

Jest ich wiele, chociaż nie są wielkie. A ponieważ bywają często niezauważone, zwykle lekceważone, tem łatwiej przeto szerzą spustoszenie, tem głębiej zarażają serca nieostrożnych.

Oto jedno z nich — maleńkie źródełko zła...

Rzecz dzieje się w rodzinie polskiej, jednej z tysiąca, w tym dniu szczęśliwym, kiedy rozpromieniona dumą i radością matka, prowadząc na ręczniku swą pierworodną latorośl, spostrzega, że maleństwo poczyna stąpać i próbuje chodzić samo.

Zaciekawiony radosnemi okrzykami, nadbiega ojciec, gromadzi się dokoła nich trojga, wkrótce cały dom. Każdy chce ujrzeć to wyjątkowe zdarzenie w dziejach świata.

— Naprawdę!... Patrzcie!... Maleństwo już samo chodzi!

A mały człowieczek, zachęcany przez tyle par śmiejących się do niego oczu, pobudzany zwłaszcza przez naturalną, rozrastającą się w nim moc maleńkich mięśni, kroczy coraz pewniej, coraz śmielej, coraz radośniej. Nawet odtrąca rękę matczyną, co mu chce pomagać chwilami... On chce sam!... I sam idzie na drżących nóżkach, próbuje biegać, aż nieobliczywszy swoich słabych sił i zajęty nóżkami, zapomni o oczkach, nie zauważy pobliskiego stołu i bęc! — uderzy główką w jego ostry kant...

Rozlega się krzyk i płacz nieutulony. Matka przerażona biegnie z pomocą, śpieszy niemniej przerażony ojciec... Ach, że też takie nieszczęście spotkało ich jedynaka! Koniecznie trzeba ukarać winowajcę, który maleństwu nabił guza! To ten stół nieznośny! Czekaj ty obrzydliwy stole, dostaniesz zaraz! A masz, a masz, a masz!

I zaczyna się wymiar sprawiedliwości. Stół otrzymuje pokaźną porcję razów od każdego z obecnych, od tatusia, od mamusi i od samego maleństwa, które nawpół z płaczem — gdyż główka stłuczona boli — bije rączką zapamiętale w nic niewinne drewno...

Zaiste! Z takiego załatwienia sprawy stółby się uśmiał, gdyby miał rozum i czucie. Śmieją się też w duchu starsi, uczestnicy tej egzekucji, choć zewnętrznie usiłują ze względu na dziecko pokazać jak najsurowszą minę, żeby stół widział, jak strasznie zawinił i jak straszną karę ponosi...

W rzeczywistości zaś ta scena, wyrwana z kontekstu codziennego życia, dla sumiennego obserwatora, nie będzie nigdy źródłem śmiechu. Z punktu bowiem widzenia psychologji jest to właśnie — źródełko zła...

W jaki sposób? Dlaczego?!

W sposób bardzo prosty i dlatego, że w całej tej zabawnej egzekucji popełniono niesprawiedliwość. Został ukarany niewinny stół i w dodatku karę wymierzali ci, co sami powinni być ukarani. A więc ojciec, matka i sam główny winowajca, który sobie nabił guza. To jedno, a powtóre, przerzucając odpowiedzialność z dziecka na stół, rodzice sami nie wiedząc o tem, posiali w jego wrażliwej duszyczce zgubną zasadę: to nie ty jesteś winien, to winien kto inny. Niech się ta scena, lub podobna do niej, powtórzy raz, drugi, trzeci, dziecko ją sobie zapamięta i zawsze będzie zwalać winę na kogo innego. Teraz winien stół, potem będzie winien brat, siostra, kolega, nawet ojciec i matka, babka, dziadek, wszyscy sąsiedzi, lecz nigdy ono. Przypomną się powtórzone po raz nie wiedzieć który rajskie dzieje. Ewa nic nie winna, nie winien Adam, winien wąż. A tymczasem najprostsze załatwienie sprawy wymagało, by utulić płaczącego bohatera, załagodzić ból w miejscu zranionem i powiedzieć mu krótko: — widzisz, nie chciałeś, żeby ci mamusia dopomagała, nie zauważyłeś stołu i stłukłeś główkę. Na drugi raz, jak będziesz ładnie biegał, to uważaj żebyś się nie skaleczył...

Odzwyczajanie dziecka od odpowiedzialności — zdawałoby się — drobnostka. Nie warto się nad nią zastanawiać, a tembardziej rozwodzić. Tymczasem jest to zrzucanie odpowiedzialności z człowieka. Z małego człowieka, prawda, ale z człowieka. W maleńkiem jego przewinieniu, także prawda, ale w przewinieniu. W miarę bowiem lat rośnie i on i rosną jego przewinienia. Pójdzie do szkoły, nie będzie umiał lekcji — będzie winien nie on, chociaż się nie uczył, lecz będzie winien nauczyciel. Tak, bo nie rozumie duszy dziecka, nie wnika w jego psychologję, nie pojmuje tego, że chłopiec potrzebuje się pobawić...

I krok za krokiem podążać będzie na wielką, ciasną arenę życia młodzieniec czy dziewczyna, mężczyzna czy kobieta o charakterze, który się odzwyczaił od odpowiedzialności za swoje czyny. Staje się dopiero wtedy odpowiedzialnym, kiedy już musi. Dopóki może, postara się ją przerzucić na innych, chociaż sam będzie winien.

I w rezultacie społeczeństwo i naród cały pocznie się składać z ludzi coraz mniej winnych, coraz mniej odpowiedzialnych. Kserkses smagał łańcuchami Hellespont, dziecko XX-go wieku bije stół, inżynier współczesny będzie smagał łuki i filary mostu, który mu się nie udał, architekt będzie kopał nogą ze złości odłamy domu, który przed ukończeniem się zawalił, przedsiębiorca będzie winę składał na dostawcę, dostawca materjału na górnika, a górnik chyba na samego Pana Boga, że taki nieodpowiedzialny materjał włożył w łono ziemi.

I tak wytworzy się najgłupszy system życia ludzkiego, w którym nikt odpowiedzialnym nie będzie, bo nie zechce wejrzeć w siebie, nie zada sobie trudu, żeby swoje czyny skontrolować, czy przypadkiem nie on właśnie winien.

I wytworzy się najgłupszy gatunek ludzi. Będą szukać winy w drewnie, wodzie i żelazie i będą reformować drewno, żelazo i wodę, a zaniechają reformę własnej duszy.

Nieodpowiedzialni... Niewinni!...

A od potwornych ich grzechów i bezprawi będzie się uginać i krwawić okrąg ziemi.

Tak zawsze z małych źródeł wypływają wielkie wody...



Jan Matejko.

ST. RADOST.

„TAKA SOBIE" HISTORJA

Rzecz dzieje się w słynnem mieście Wędzibona, którego założenie zawdzięczamy fatydze rzymian, które było też ongiś jedną ze stolic świata. Lecz skończyły się dobre czasy. Znaczenie miasta spadło wielokrotnie poniżej parytetu.

Odczuwał to nawet rzeczywisty tajny nadradca p. Aphsik Telesfor. Nie lekceważmy sobie bynajmniej pisowni tego nazwiska, które już dzisiaj przeszło do historji. Zważywszy, że powodów jest tysiąc i wszystkie jednakowo ważne biorąc pod uwagę jednak ograniczoną cierpliwość czytelnika, wyliczymy kilka z brzega.

Nadanie nazwiska datuje się od czasu zainstalowania na dworze najdobrotliwszego, ale już mocno sfatygowanego monarchy urzędu oficjalnego kichacza. Do jego obowiązków, które rzeczywiście wymagały nietylko kunsztu oraz siły, ale i pietyzmu i co tu mówić — świadomości opatrznościowej roli dynastji, należało kichanie ztyłu za fotelem monarchy. Dostojny, ale już mocno przemęczony figurant w koronie, obarczony schyłkowością wielowiekową swego rodu, markował jedynie kichanie. przyciskając jednocześnie w rączce fotelu odpowiedni sygnał. Natychmiast rozlegało się potężnym basem: Ap—h (głęboki wydech) — sik!

Wszystkie głowy chyliły się w pół ukłonie i dworackie, wiernopoddańcze duchy wołały:

— Zdrowia życzymy waszej wysokości — szła fala prawdziwego entuzjazmu dla zdolnego jeszcze kichnąć tronu.

Zmaltretowany przez życie i własną nieudolność monarcha uśmiechał się łaskawie na widok tego hołdu, brały go dreszcze wzruszenia, śnił legende o wiekuistym związku tronu z wiernymi ludami.

Tymczasem gromy biły w zmurszały tron i nawet bohaterskie ap—h—sik (zastrzeżone w urzędzie patentowym dla rodziny lub spadkobierców) nie wiele już pomagało.

Biedny Ap—hsik otrzymał coprawda tytuł szlachecki „za wybitne usługi. oddane krajowi i koronie", i przyznanie nazwiska rodowego. jednak z wyczerpania wprost umierał. Coraz mniej było kornych głów. więc chcąc symulować czołobitność puszczał w ruch wszystkie wentylatory w pałacu.

— Mam wrażenie — myślał — że kiedyś moje kichnięcie strąci z tronu to truchło. Trzeba zawczasu zabezpieczyć się.

Idąc za dobrem natchnieniem Aphsik. postanowił zostać mecenasem sztuki. W tym celu odkupił słynny teatr pcheł. i kiedy monarchja wywróciła koziołka wierny swemu zgasłemu dobroczyńcy zaczął pokazywać w teatrze obyczaje dworskie. a tresowane insekty wcale godnie wywiązywały się ze swej roli. w niczem nie uchybiając swym protagonistom.

Przedsiębiorstwo rzeczywiście początkowo kwitło: lud. zadowolony z obalenia „tyrana", który właściwie oddawna już był „śpiącym manekinem" w rękach kamaryli i obcych dworów, śpieszył tłumnie pośmiać się z tej karykatury.

A teraz, proszę państwa, monarcha udaje się na spacer. Po minjaturowych schodach wyciągały się sznurem pchły-lokaje, środkiem ociężale toczyło się opasłe pchlisko — w purpurowym płaszczu.

— Ta się napiła krwi! — wołano. — Pęknie!

Insekt gramolił się do srebrnej minjaturowej karocy, którą truchcikiem ciągnęły 24 cuganty, pojazd objeżdżał dwa razy kwietnik, zatrzymywał się i pchlisko dreptało spowrotem w górę.

Pojazd monarchy był witany radosnemi podskokami tłumów pcheł wygłodniałych, które nęcono w górze pokarmem.

Ale to z pietyzmem reżyserowane widowisko, a z kpiną i szyderstwem przyjmowane przez widzów, wkońcu się przejadło.

Teatr robił klapę, a nasz rzeczywisty, tajny (zważywszy, iż stale siedział za tronem) radca Aphsik, znalazł się nagle na skraju nędzy.

W chwili, gdy zaczyna się nasze opowiadanie, nasz Aphsik, ma akurat otwartą gębę do ziewania. Przy sposobności możemy w niej podziwiać piękny garnitur złotych koron, świadectwo świetnej przeszłości, niestety dziś prawie bezużyteczny. Coraz rzadziej bowiem nasz radca miał okazję rozgniatać w swych końskich zębiskach jakiś solidny befsztyk z cebulką.

Owo ziewanie nie płynęło jednak z nudy czy czczości. Radca Aphsik studjował tajniki ziewania i postanowił założyć szkołę zawodowych ziewaczy.

Obecnie, jak wiadomo, świat cierpi na manję różnych zjazdów, konferencyj, kongresów, straszliwie nudnych przez swój nieśmiertelny szablon bezpłodny, bo nieszczery Swoją drogą, były lepsze czasy tajnej dyplomacji. Ludzie tak mało mają sobie do powiedzenia poza kilkoma komunałami i pewną ilością proszonych obiadów, stwierdzili to tacy mędrcy jak Konfucjusz, Yames oraz on, tajny, rzeczywisty, były nadradca dworu Aphsik. O tamtych zresztą mniejsza.

Trzeba im więc ulżyć. Trzeba zestandaryzować sposoby prowadzenia tych międzynarodowych obrad, powierzyć je wyspecjalizowanym ziewaczom. a którzy według reguł najlepszej sztuki będą oddawać się spazmom ziewania i czkawki po niestrawnych, oficjalnych przyjęciach.

Jest w tem idea.

Z tem możnaby na forum międzynarodowe, z tem możnaby wsławić znów ojczyznę.

Och biedna ojczyzna, w której takie jak jego, Aphsika, zasługi podeptało zapomnienie.

Jego ojczyzna okrojona przez t. zw. traktaty i t. p. Słowem zgroza.

P. Aphsik był niepocieszony nie dlatego, żeby wogóle miał jakieś, bliżej określone pojęcie o ojczyźnie, poza mitingowym hurra patrjotyzmem, ale przez wytworzony po wojnie stan rzeczy czuł się zagrożony w podstawach swego bytu, w prawie do codziennego befsztyku, szklanki piwa i miękkiego łóżka francuskiego. To jedno Francuzom udało się, myślał radca, gotów był im wybaczyć nawet traktat wersalski.

Z tem wszystkiem dość tego, z biernej pozycji trzeba przejść do ofenzywy.

Pan radca czuł, że kiszki mocno wygłodzone przez dietę przymusową, grają mu zwycięskiego marsza, pchają en avant, avanti.

Ja, znakomity mecenas teatru pcheł, które choć tępe, bezduszne, skakały jak chciałem, pokażę Europie, co znaczy zjednoczenie ludów. Jego tradycję mam w krwi, jako rzeczywisty, tajny nadradca uniwersalnej monarchji, trwającej więcej dziesiątków lat niż Liga Narodów miesięcy.

Wogóle co znaczy „Liga Narodów"? — Jakich narodów?

Briand deklarował, że nie ma już narodów zwyciężonych ani zwycięskich, ale czy to obowiązuje. Trzeba Ligę przemianować na „Ligę Narodów zwycięskich i zwyciężających".

Mówi się Paneuropa! Ale gdy jakiś kraj stawia pierwsze kroki na tej drodze, to się go obrzuca oskarżeniami. Najwyraźniej staruszkę Europę i jej kwitnące niemowlę Paneuropę obleciał strach, że do nas należy przyszłe zwycięstwo. Podchlebiają się tylko, chcą uśpić czułemi słówkami. Ale to się mu nie uda. Jakiem rzeczywisty nadradca Aphsik.

Pan Telesfor słowem zezlił się straszliwie i jednocześnie postanowił działać.

Spakował resztki swego pchlego zespołu, zamówił kilka biletów dla swych zawodowych ziewaczy i pewnego wieczora siedział w ekspresie genewskim.

P. Aphsik nie znał żartów. Co postanowione — to zrobione.

Postarał się o bilety wejścia do pałacu Reformacji. Oto jakim nędznym celom musi służyć ten historyczny gmach — myślał.

Zaczęły się obrady.

Jego statyści siedzieli rozmieszczeni w różnych miejscach sali. Na trybunie jakiś mówca wyjaśniał coś poufnie stenografom, przyczem co pewien czas skandował słowo „Paneuropa" — „paneuropejski".

Nagle w jakimś kacie sali rozległo się potężne ziewanie, jak echo, drugie, trzecie, czwarte — popłynęły z różnych stron.

Mówcy ugrzęzły słowa w gardle. Na sali zapanowała konsternacja. Woźni rozbiegli się szukać winowajców, którzy jednak zdołali ujść.

— Czy może być lepszy emetyk od obrad Ligi Narodów. Międlenie trzy po trzy w kółko — rzekł Aphsik do sąsiada.

Następnego dnia salę zarzucono odezwami.

Na czele widniała pod złotą koroną wielka pchła. Treść była następująca:

Liga Narodów, to niby wielki hotel, w którym pewni lokatorzy są uprzywilejowani, a inni zepchnięci w kąt. Dla nich są kuchenne schody i piękne zapachy elokwencji z uczty genewskich szyderców. Mówi się Paneuropa, a jednocześnie trzyma ludy Europy w ciasnym kurniku, aż się je udusi. Mała pchła ma więcej w jednej pięcie rozumu, od was wszystkich. Wstydźcie się panowie. Takie kpiny dłużej trwać nie mogą. Zburzyliście dawny porządek i nic nie dajecie zato. Czas położyć temu kres. Jeśli panowie nie uchwalicie jutro do południa rezolucji, którą załączam, to zrobię wam jutro taki sądny dzień, jakiegoście jeszcze nie mieli dotąd. Jakem radca Aphsik.

Rezolucja opiewała:

Pozwala się państwom Europy robić co im się podoba w polityce i gospodarce, jak to najlepiej odpowiada ich potrzebom a więc i zbliżeniu paneuropejskiemu. — Z poważaniem

taj. rzecz. nadradca dworu
Telesfor Aphsik
prof. wszechnauk i parasitologji, członek instytutów.

Pan radca przygotowywał się jednocześnie do generalnej batalji.

W ręku trzymał piękne etui, podobne mieli jego pomocnicy, niby sami ministrowie, piastujący ważne dokumenty, zaopatrzone w okrągłe pieczęcie.

Zaczęły się obrady. Nic jednak nie zapowiadało uchwalenia rezolucji Aphsika. Radca kręcił się jak na rozżarzonych węglach.

Wreszcie wybiła dwunasta.

Aphsik zerwał się z okrzykiem:

— A łotry! To tyle u was znaczy głos uczciwego człowieka, który przyjechał tu do was specjalnie. Poczekajcie, teraz poskaczecie jak wam zagram. Chłopcy, zaczynamy.

Zdjął przykrywkę z etui i potrząsnął nią jak wezyr, dający znak do ataku.

Z pudełek posypały się małe wychudzone, zgłodniałe insekty, rzucając się krwiożerczo na obecnych i obłażąc ich od stóp do głów.

Na sali zamęt zapanował niesłychany. Ludzie drapali się zawzięcie, jakby nic innego nie robili od urodzenia. Przybierali pozy, których nie powstydziłyby się tancerki z Folies Berges, chwytali się za części ciała nie przewidziane w żadnym regulaminie towarzyskiego współżycia.

— Moje kochane pchełki używajcie sobie używajcie. Macie królewską ucztę.

Sama elita polityczna.

Trzeba było patrzeć, jak siwowłosi, poważni dyplomaci wiskali sobie włosy, sięgali nerwowo do wąsów i uszu, jak się zrywali nagle z krzeseł i pędzili na oślep przez salę. Zaiste Dante nie mógłby wymyśleć nic bardziej tragikomicznego.

A nasz Aphsik zbliżył się do przewodniczącego i słodziutkim głosem oświadczył:

— Jestem Aphsik, do usług. Mogę każdej chwili odwołać mą armję dywersyjną, tylko żądam uchwalenia znanej panu rezolucji.

— Panie, nie stawiaj pan niedorzecznych żądań.

— Co, niedorzecznych! Wobec tego, żegnam!

— Panie, nie odchodź pan! Błagam pana! W panu jedyny ratunek! — seplenił przerażony przewodniczący — rozgniatając gestem rozpaczy jakąś natarczywą pchłę — zgadzam się, jednak z pewną modyfikacją. Rezolucję rozpoczniemy od słów. Wobec przekonywującego argumentu zgłodniałych pcheł, Rada Ligi uchwaliła. W ten sposób pańska interwencja przejdzie do historji — podchlebiał przewodniczący.

— No tak, bardzo mi na tem nie zależy.

— Jednak zawsze nie zawadzi.

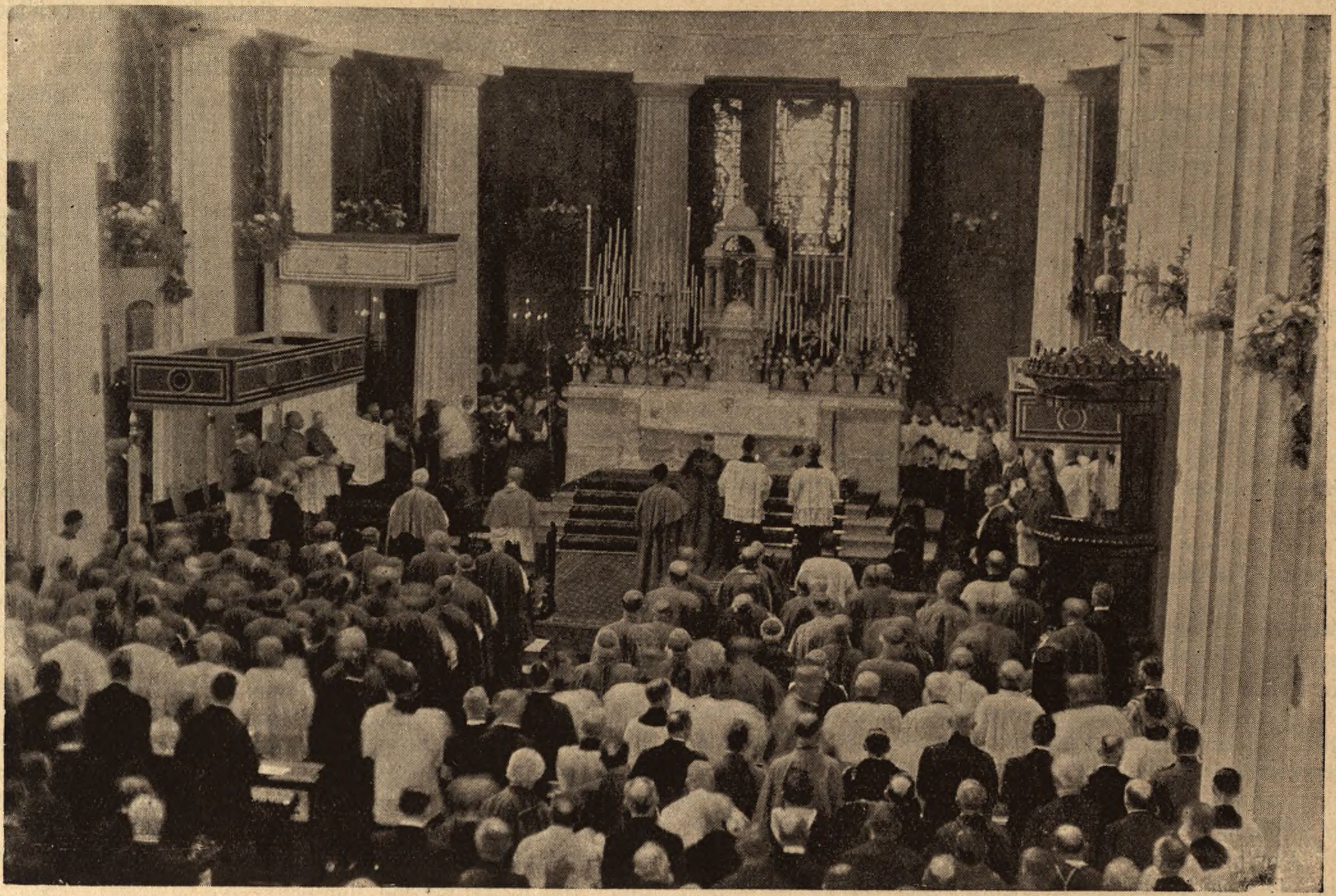
— Dla świadectwa prawdzie!

* * *

Nazajutrz prasa całego świata donosiła. W prasie umiarkowanej czytano:

„Sensacyjna uchwała Rady Ligi. Inwazja pcheł na posiedzenie, należących do zbzikowanego radcy byłego dworu i właściciela teatru tresowanych pcheł! Wymuszona rezolucja! Warjata przyodziano w kaftan bezpieczeństwa"!

(Dokończenie na str. 307).



Legat Papieski, Kardynał Lauri przed nabożeństwem uroczystem w pro-katedrze Dublińskiej modli się przed wielkim ołtarzem w obecności 10 Kardynałów, paruset Biskupów, tysięcy Księży i tłumów pielgrzymów.

Z OJCZYZNY ŚW. PATRYKA

(NA MARGINESIE KONGRESU EUCHARYSTYCZNEGO W DUBLINIE).

Dzięki Międzynarodowemu Kongresowi Eucharystycznemu w Dublinie zapoznaję się z Irlandją, już nie rozproszoną na emigracji, ale u siebie w domu, w Ojczyźnie.

Prastary to kraj. A tę jego dawność przypomina choćby takie jeszcze pogańskie w swoich początkach święto narodowe zw. *„Aonach Tailteann"*, ogłaszane tylko z okazji wielkich dziejowych wydarzeń odrodzenia narodu, czy jego niepodległości, której tak przecież niewiele zażyła kraina Erynu, Zielonej Wyspy.

Są to jakby pradawne greckie „Olimpjady". Już stary Strabo pisze, że jest taka wyspa w okolicy Brytanji, czcząca boginię Demeter, rytuałem podobnym do tego, którym się posługuje grecka Samotracja. To pewnie-Tailte, patronka rolnictwa. Obchody te zawierały wspomnienie po poległych za ojczyznę bohaterach, ogłaszanie nowych praw, zawody muzyczne, poetyckie, gimnastyczne, rycerskie, wszelaka inna wesołość i radość narodową.

Nie zapomniano o tych obchodach i obecnie. De Valera przywrócił im życie z powodu wydarzeń politycznych r. 1924. Naród irlandzki jeszcze nie miał w tym roku całkowitej wolności, odbyły się więc w nastroju oczekiwania większej. „Aonach Tailteann" wznowiono tego lata w czasie od 13-czerwca do 10-lipca. Rok ten przyniósł Irlandji poza wydarzeniami politycznymi, Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny, który całemu światu katolickiemu, okazał i drugą cnotę narodu irlandzkiego, jego religijność i przywiązanie do Stolicy Apostolskiej.

Góra św. Patryka w pobliżu miasta Westport, na tle innych, bogato zadrzewionych wyżyn i wód Cuan Modh, na której ten święty miał pościć, tyleż dni co Chrystus Pan świadczy o wierze Irlandji tysiącami pątników, pielgrzymujących do niej od dawien dawna, jako do miejsca, najświętszego ze świętych w narodzie irlandzkim.

Na tej górze w r. 1113 w dn. 17 marca piorun zabił 30 poszczących pielgrzymów. Była to jakby prorocza groźba klęsk, prześladowań, udręczeń, które naród irlandzki cierpiał w następnych wiekach za czasów królowej Elżbiety i Cromvellów. Ale tem ją więcej czci i kocha dzisiejszy Irlandczyk, który przy niej się gromadzi we wszystkie uroczystości i święta narodowe.

Pielgrzymują i do innej. Oto Hill of Tara. I na tej wyży św. Patryk z krzyżem w ręku nawracał Druidów z Dublina i Munsteru i siedmiu synów króla z Connaught. Tu też na łożu śmierci ten św. Biskup został



Wylądowanie pielgrzymki polskiej w Dublinie.

obwołany przez otaczające go tłumy nawróconych do chrystjanizmu Gaelitów, Apostołem i Ojcem ich ziemi.

Już w w. VI. Irlandja poddaje się pod jarzmo karności kościelnej. Przyjmuje decyzję świętowania Wielkanocy. Wydaje misjonarzy, którzy przed ruszeniem się w szeroki świat, wędrują do dalekiego Rzymu, by ucałować stopy Papieża. W w. IX biskup Gilbert z Limericku odzywa się do swoich wiernych: wszyscy członkowie Kościoła są rządzeni przez jednego biskupa, przez Chrystusa w Jego Zastępcy, Piotrze i następcach zasiadających na Jego stolicy.

Patyną wieków pokryte kamienne klasztory, otoczone murami, zaszyte w gąszczach ze swojemi charakterystycznymi okrągłemi wierzycami, które służyły ongiś nietylko za warowne baszty, dzwonnice, ale i za schron przed prześladowaniami dla bohaterskich mnichów i plebanów, wołają głosem wielkim o dawności ducha dzisiejszej Irlandji.

Uciekliśmy na chwilę z rozgwaru tłumów, wypełniających ulice stolicy Irlandji, Dublina, rozświątecznionego wielką dla siebie chwilą Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego, na odległą prowincję, do cmentarzyska i ruin miejscowości Glendalough, gdzie stoją resztki siedmiu kamiennych kościołków jeszcze z w. VI i VII. Miała to być pono siedziba św. Kewina, jednego z patronów tej ziemi. Historja mówi, że tu w onych zamierzchłych czasach stał gród, stolica nawet arcybiskupstwa, znana ze szkół zakonnych.

„Jest ona Ziemią świętych i męczenników" — piszą papieże w swoich encyklikach. Wydała ich ona całą litanję: Aiibe, Brendan, Finian, Fintan, Comgall, Canice, Colman, Kewin, Aiden i wielu wielu innych.

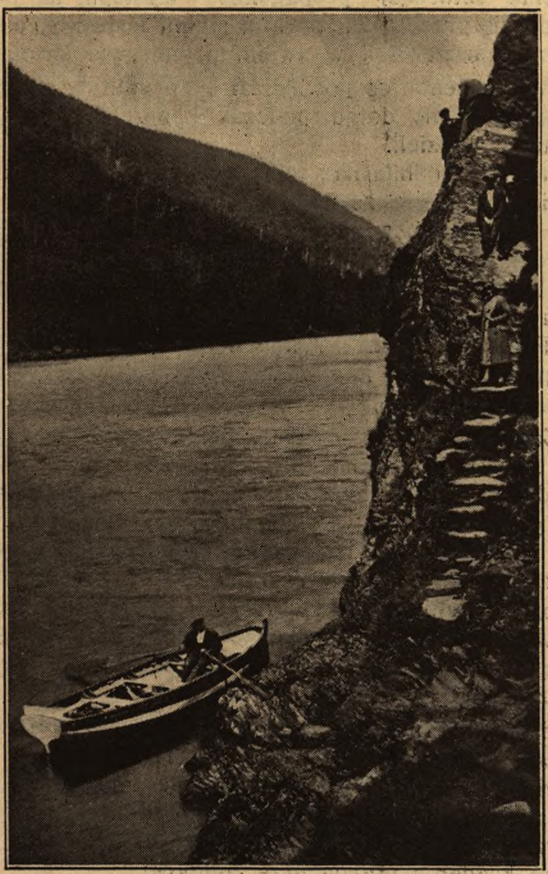
W r. 1152 przybywa do niej pierwszy Legat Papieski kardynał Giovanni Paparo, wysłaniec Eugenjusza III, który potwierdza podział całej Irlandji na cztery prowincje kościelne, metropolje w Armagh, Dublin, Cashel i Thuan.

Jeszcze przed tym rokiem w 1139 pielgrzymuje do Rzymu słynny biskup z Armagh, Malahiasz, autor owych proroczych tytułów Papieży, które tak dokładnie sprawdziły się dotąd i otrzymuje paljusz arcypasterski i godność legata do własnego kraju.

Irlandja to ziemia prastarych kamiennych krzyżów, najoryginalniejszych w swojm kształcie, bo posiadających rozpiętego Chrystusa, którego głowę otoczono wyobrażeniem słońca. To najlepszy wyraz jej ducha. Cierpienie dla Krzyża było dla niej słońcem, w którego ogniu próbowała się i doświadczała dusza pokoleń tego kraju.

Jakżeż się w tej ziemi, której lud cierpiał całe wieki prześladowania za wiarę i patrjotyzm, był wydziedziczany, wypędzany, więziony, a nawet męczony, nic nie zmieniło. To samo uczucie przywiązania do Kościoła, Stolicy Apostolskiej niczem nie skażone zostało i to w sercu nawet największych patrjotów. Takim był emancypator narodu irlandzkiego O'Connell, który „Bogu duszę, serce Watykanowi, a ciało Ojczyźnie oddawał. Takim jest i dzisiejszy wódz de Valera, który podczas Kongresu Eucharystycznego sam, wraz ze swoim rządem, klęczał godzinami przed Najświętszym Sakramentem, w obliczu setek tysięcy uczestników tej przeogromnej manifestacji eucharystycznej.

„Bless me Father", oto ustawiczna prośba o błogosławieństwo Boże, skierowywana przez każdego przechodnia pod adresem przechodzącego kapłana. Schylają przed nim głowy, a nawet i klękają. Proszą



Jezioro Glendalough.

o podpisy na pocztówkach i w albumach. Otaczają tłumnie, pragnąc go usłyszeć.

Od lat kilku nie widzieli słońca. Ciągle deszcze i mgły. A miał się odbyć Kongres Eucharystyczny. Udali się więc z modłami do Boga. Przez dwa lata trwały po wszystkich kościołach Irlandji publiczne suplikacje o pogodny czas na kongres. Skuteczne były prośby, bo oto chmury odeszły, a przyszły dni jasne, promienne.

Byłem uczestnikiem wielu kongresów eucharystycznych, alem nie widział nigdzie i nigdy takiego przepychu w przystrojeniu ulic i placów, jak to uczyniono nietylko w samym Dublinie, ale i w całej Irlandji, przecież niezamożnej, bo wydziedziczanej przez całe stulecia. Odejmowano sobie pono ostatni kęs chleba, byle tylko przyczynić się do wspaniałości kongresu. W pamięci mam kongresy w Lourdes, Chicago, Kartaginie. Były wspaniałe. Dobrze zorganizowane. Szczytem chyba kolosalności, majestatu, masowości był kongres w Chicago ze swoimi miljonami. Działała w nim jednak sprawność amerykańska, racjonalizacja, mechanizacja, przy dużych środkach technicznych, komunikacyjnych i finansowych. O efekt więc wzroczny było łatwiej.

W Dublinie inaczej.

Jestem w Biurze Centralnym Kongresu. Proszę o rozmaite materjały, pomoce, których pełno było w Chicago, pod postacią literatury ideowej, informacyjnej, fotografij i obrazów. Zdziwiony jestem odpowiedzią jego kierownika.

— Nie mamy tego, brak nam środków. Zresztą pragniemy wystąpić bez tego wszystkiego, coby robiło wrażenie sztucznej propagandy, występu na pokaz, chcemy się przedstawić światu, jakimi jesteśmy, w swej prostocie, szczerości, w swoim prymitywie katolickim.

Wbrew temu, co powiedział — prymityw przeszedł wszystko, cośmy dotąd podczas kongresów eucharystycznych widzieli.

Irlandja podbiła nas sobie. Cały świat. A było nas przecież tak wiele, ze wszystkich jego zakątków. Purpury i fiolety. Zwykłe sutanny i habity. Wszelakie obrządki powszechności katolickiej. Legat Stolicy Apostolskiej, kard. Lauri. A nawet dał się słyszeć na falach radja przyniesiony głos Ojca św. Była tu i Polska. Przewodził sam Prymas Rzeczypospolitej i dwaj biskupi. Dziesiątki kapłanów i zwykłych wiernych, razem około 170 osób.

Czuliśmy się jak u siebie. Irlandczycy choć odcięci od świata, poza szlakiem turystycznym, nie powiązani żadnemi interesami z Polską, wyczuli w nas swoich braci przez analogję. Połączyła nas w dziejach wspólnota cierpień i wydziedziczeń i podobnej za wiarę i ojczyznę martyrologii. Wyraził to w przepięknym historjozoficznym temacie w trzech językach, angielskim, łacińskim i polskim na sekcji polskiej prof. O. Halecki z Warszawy i w podniosłem kazaniu złotousty mówca ksiądz biskup Okoniewski z Pomorza.

Gromadkę naszą wyróżniano, szczególnie podczas pochodu w masie, czy osobno. Towarzyszyły nam okrzyki „Heil Poland", frenetyczne oklaski i tłumy, z których się wydobyć było trudno. Komu zaś angielszczyzna nie była obcą musiał ciągle o tej Polsce opowiadać każdemu prawie przechodniowi.

Ceremonjał Kongresu był przewspaniały. Zaczynał się już o północy i kończył z upływem doby. Rankiem sprawowano uroczyste Msze św. i Komunje po wszystkich kościołach i kaplicach. Po południu zbierano się na wielkie mityngi według płci, osobno mężczyźni, kobiety i młodzież w odległym od Dublina Phoenix Parku.

Zbierały się na nie masy trudne do ogarnięcia okiem. Skromnie licząc, dochodziły każdorazowo do ćwierć miljona. Karność i porządek idealne. Skupienie i cisza zadziwiające, nawet wśród tysięcy dzieci i młodzieży. Dwa ideowe przemówienia, po nich zbiorowy śpiew i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Całość słyszaną była wszędzie, dzięki licznie rozstawionym głośnikom.

We Mszy Pontyfikalnej, odprawionej przez Legata papieskiego podczas Kongresu w prokatedrze dublińskiej użyto dzwonka, który dla narodu irlandzkiego jest bezcennym skarbem i relikwją pozostałą po św. Patryku, Patronie Irlandji. Nie dzwoniono weń już długie lata, bo od czasów prześladowań. Dopiero obecnie, na znak wielkiej radości, że na ziemię irlandzką wstąpił przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, dał się słyszeć jego głos całej Irlandji i światu.

Dzwonek znaleziono między innymi relikwjami w trumnie św. Patryka jeszcze w r. 552. Oddano go katedrze w Armagh. Długie wieki znajdował się potem w ręku rodziny Mulholland. Wreszcie dostał się w połowie XIX w. do Muzeum Narodowego w Dublinie.

Miarę zwykłą przeszedł finał Kongresu, gdy po Mszy Pontyfikalnej, pod przewodem Legata Apostolskiego, niosącego monstrancję wyruszyła olbrzymia procesja, rozciągnięta na dystansie prawie ośmiu mil angielskich, przy uczestnictwie chyba miljona ludzi. Widok nieporównany, majestatyczny, rozrzewniający, każda bowiem jednostka tego pochodu to potencja wielkiego uczucia wiary, w tajemnicę Eucharystji.

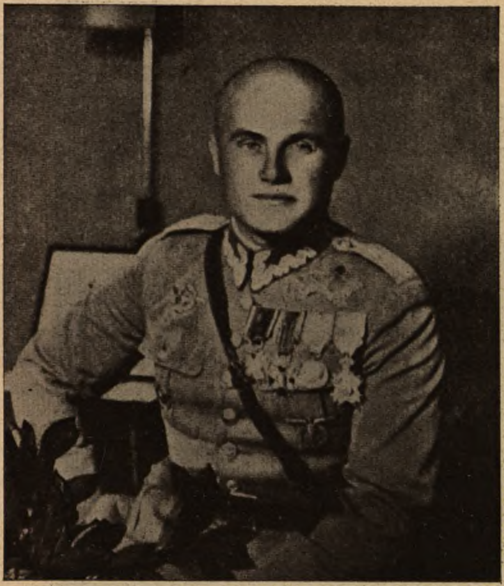
Pochód skończył się na moście imienia O'Connela. Przemówił tu po raz ostatni przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, który nie żałował swego słowa i przy innych okazjach, wysławiając potęgę wiary i przywiązania do Kościoła całego narodu irlandzkiego, który się nigdy nie ugiął pod przemocą sił wrogich katolicyzmowi i przywiązaniu do ziemi i języka ojców i pradziadów.

Tu kard. Lauri błogosławił w imieniu Papieża „Urbi" Dublinowi i „Orbi" całemu światu, zebranemu w celu zamanifestowania swojej wiary w Tajemnicę Ołtarza i jedności ze Stolicą Apostolską.

Skończyły się uroczystości. Ludzie zaczęli się rozjeżdżać. Wielkie transportowce transoceaniczne podniosły kotwice i całą parą ruszyły z powrotem do swych rodzimych pieleszy. Spełniły i one swą rolę. Były dachem nad głową dla tysiącznych rzesz pielgrzymich, którychby nie pomieścił szczupły Dublin, były i miejscem modlitwy, gdyż salony ich przerobiono na kaplice, w których kapłani sprawowali codziennie Niekrwawą Ofiarę. Spełniła tę rolę i nasza „Saturnja", wielki okręt włoski, wynajęty przez Polskie Biuro Podróży „Francopol", które nas do Dublina przywiodło pod protektoratem ks. Prymasa i dyrekcją ks. Janickiego. „Francopol" wywiązał się ze swego zadania doskonale.

Już poza nami została Irlandja, naród jej i kongres eucharystyczny, dobijamy znowu do granic ojczystych, by tu w kole rodzinnem rozpamiętywać te wielkie i podniosłe tak gruntownie przeżyte momenty.

X. W. Kneblewski.



Ś. p. por.-pilot Franciszek Żwirko.

LITANJA LOTNICZA

Jeśli jest rozkosz najwyższa, najczystsza,
To chyba ducha wzbić w niebo skrzydłami.
Pragnę więc zwycięstw, lękam się klęsk czyśćca,
O Marjo, zmiłuj się nad nami!

Serce drży w piersi, słońce lśni na niebie,
By ikarowym wzlotom zły położyć kres.
Najświętsza Panno, błagam kornie Ciebie,
Na skrzydłach w niebo me serce wznieś!

W tęsknotach duszy sfer wstaje muzyka,
Bić chcę powietrze woli akordami...
Cel lotu z rąk jak cień wiotki umyka.
O Marjo, zmiłuj się nad nami!

Ziemia jest mała, duch ludzki ogromny
Do wiekuistej dolecieć chce mety.
O Przenajświętsza, błagam Cię ułomny,
Oddal gorycz czarnych fal Lety!

Chcę ziemię Polski imieniem zadziwić,
Nasz sztandar okryć nowemi blaskami.
Daj lotu nie zniżyć, do celu przybić,
O Marjo, zmiłuj się nad nami!

Testament wieszcza w czujnem sercu dzwoni:
Na wielkie zamiary siły orle mierz!
Lecz duch mój osłabł, pióra dumnie roni,
Marjo, ptaka Twego w niebo bierz!

Przeciw mnie zawistne sprzęgły się moce,
Za mną Polska, we mnie wiary gore znicz,
Lecz gdy zwątpienia ogarną mię noce,
Modlitwy błagalne, Marjo zlicz!

Widzę pokorne u mych stóp przestworze,
Co się miłośnie kładzie pod skrzydłami.
Nagle koniec: cisza śmierci w motorze...
O Marjo, zmiłuj się nad nami!

Któż dzisiaj pomni na wzgórze Golgoty,
Na którem nam niebios otwarła się wyż.
Dla nas podniebne, ścigłe samoloty,
O Marjo, toć to codzienny krzyż!

Lecz trudno co dnia pić kielich goryczy,
I trudno się karmić nieustannie łzami,
Ty, której serce miłości nie liczy,
O Marjo, zmiłuj się nad nami!

A gdy zła burza rozrzuci me kości,
Znacząc Ojczyznę bólu stygmatami,
To niech to będzie próg ku wzniosłości
Królestwa Maryji nad nami.

Niech się zjednoczą bracia moi, siostry
W próbie cierpienia jak w uczcie zwycięstwa...
Skoro ugodzić musi w pierś mą grot ostry,
O Marjo, dodaj mi męstwa!...

Choć buchnie płacz wielki serdecznej boleści,
Niechaj was groźba jej nie był przestrasza.
Pośród nawałnic i hiobowych wieści,
O Marjo, bądź ostoja nasza.

Abyśmy mogli w niebo wszyscy wzlecieć,
Skrzydła cnót słabym są potrzebne duszom
Do startu szlachetnych wciąż mało w świecie
O Marjo, niech Cię błagania te wzruszą!

J. S. Czarnecki.

KOŁYSANKA

Pani Żwirkowej poświęcam

Na niebo spadła nocy płyta,
Ogromna cisza świat zamyka,
Pan Bóg gwiazdami w niebie wita
Twego Tatusia-porucznika.

Zaśnij już synku, zaśnij mały.
I nie proś, nie proś: „Nie płacz mamo!"
Ty nie rozumiesz — w światło chwały
Odszedł twój ojciec czarną bramą.

Och, rączynami szyję okól
I na dobranoc mnie pocałuj,
Uśmiechem dziecka wróć mi spokój,
Swoją pieszczotą mnie pożałuj.

Tu na mej piersi masz wezgłowie,
Przytul się skarbie, moje krocie —
Przyśni się Tatuś i opowie
O swym anielskim samolocie.

Miłował ojciec wyż okrutną,
Dziś drżę, że ciebie mi zabiera
— Jakże się cieszę i jak smutno,
Że jesteś synkiem bohatera.

Śpij, jasnowłosy, śpij dziecino,
Jak ci serduszko mocno puka!
Wiem — gdy skrzydełka się rozwiną
Wzbijesz się w niebo ojca szukać.

Zdzisław Broncel.



Fot. Emha 1932. *Mur w Łazienkach.*

TOMASZ MANN

Wyróżniony niedawno nagrodą Nobla Tomasz Mann jest niewątpliwie nietylko sławą niemiecką, ale i europejską. Znaczenie twórczości T. Manna nie opiera się bynajmniej na popularności wśród szerokich mas. Laureat Nobla przemawia raczej do elity intelektualnej świata, rozsnuwając w subtelnych literackich formach głęboką i drobiazgową analizę duszy współczesnego człowieka.

Wychowany w atmosferze kulturalnej Monachjum, niemieckich Aten oraz Rzymu, Mann jest typem humanisty o szerokich horyzontach myślowych, wolnego od uprzedzeń zaściankowego i zaślepionego szowinizmu, a kierującego się pragnieniem ujawnienia „metafizycznej zagadki bytu". Czy ludzkość idzie po drogach postępu czy upadku? Jaka jest racja i cel istnienia? Sprawy te pochłaniają uwagę Manna od pierwocin jego twórczości aż po ostatnie jego pomnikowe dzieło.

Początkowo jego prace literackie pozostają pod wpływem naturalizmu francuskiego o typie Mauppassante'a. Nadaje to jego utworom cechę pogodnej, wyrozumiałej ironji, której kulminacyjną wartością jest kapitalna sensacyjna powieść „Królewska Wysokość" (1909). Ostrze swej satyry wydoskonalił znakomicie jako redaktor „Simplizissimusa". W powieści tej, przedstawiającej dzieje małżeństwa „z wyrachowania i snobizmu" między niemieckim księciem i amerykańską miljarderką, skonfrontował Mann na płaszczyźnie satyry dwa światy arystokracji i plutokracji, bez litości, ale i bez bólu demonstrując ich pustkę i nieprzydatność społeczną.

Kapitalnem studjum społeczno-obyczajowem są znacznie wcześniej zresztą wydani (1901) przypominający „Rougeon-Macquart" — „Bouddenbrookowie". Jest to powieściowa monografja czterech pokoleń wielkiej kupieckiej rodziny, od powstania przez szczyty powodzenia, aż do ostatecznego jej upadku. Autor w świetnym, niezawodnym w swym realiźmie opisie, kreśli obraz i atmosferę życia niemieckiego mieszczaństwa XIX wieku. Istotna wartość dzieła wynika ze znakomitego przedstawienia walki między indywiduum a społeczeństwem o prawo jednostki do autonomicznej egzystencji. „Dzieje upadku jednej rodziny" kończą się śmiercią ostatniego z Bouddenbrooków", lecz śmierć ta jest na swój sposób triumfem indywidualizmu. Powieść ta ma niewątpliwe cechy autobiograficzne. Tomasz Mann pochodzi ze starej kupieckiej rodziny hanzeatyckiego miasta Lubeki, matka była kreolką. On i brat jego Henryk sprzeniewierzyli się dotychczasowemu powołaniu swego rodu, podejmując działalność literacką, która jednak nabiera znów cech powołania dziedzicznego, gdyż syn Tomasza, Klaus z powodzeniem debiutował już jako pisarz.

W powieści ujął autor rzeczy te tragicznie. Wraz ze śmiercią ostatniego z Bouddenbrooków kończy się bezpowrotnie ich misja społeczna.

W innym utworze niewątpliwie przedstawiającym osobiste przeżycia i wspomnienia, nowelli p. t. „Tonio Kröger", autor zarysowuje przejmujący obraz tęsknoty za wolnością osobistą, buntu przeciw koniecznościom mechanizmu życia społecznego. Bunt ten ma jednak

cechy wewnętrznego protestu i oburzenia, nie zdobywa się ani razu na życiowy, zewnętrzny wyraz.

Utwór jest znakomitą analizą dekadenckiego romantyzmu, wewnętrznie rozpłakanego i rozżalonego, niezdolnego do czynu i poprostu niepożądającego czynu. W utworze tym autor sportretował bez litości filisterstwo współczesnego intelektualisty, wbrew wewnętrznym sprzeciwom urządzającego się „wygodnie“, to znaczy w zgodzie z przeciętnością swego środowiska.

W pierwszym okresie swej twórczości pisze Tomasz Mann wiele nowel, które zebrał w zbiorach „Der kleine Herr Friedemann“ i „Bekenntnisse des Hochstaplers Feliks Krull“. Pozatem napisał dramat „Fiorenza“ z czasów renesansu włoskiego (1905).

W „Tod im Venedig“ (1913) podjął modny obecnie w europejskiej literaturze temat homoseksualizmu. Niebezpieczny ten, graniczący z pornografją temat, ujął autor jako głębokie studjum załamań i zakłamań współczesnej psyche. Klasyczny objektywizm, cechujący całą twórczość Manna, święci tu swój triumf, ratując dzieło od posmaku trywialności i nieprzyzwoitości. Pod tym względem różni się książka Manna od powieści Marcelego Prousta „Sodoma i Gomora“, której autor wyraźną niechęcią otacza nieszczęsnego zboczeńca barona Charlus. Mann zgromadziwszy cały materjał dowodowy, sąd zostawia czytelnikowi i jego sumieniu.

W następnym okresie powstają dalsze zbiory nowel p. t. „Das Wunderkind“ i dwie idylle („Herr und Hund“ (1914), wreszcie „Gesang vom Kindchen“. Wojna powołuje Manna do pracy publicystycznej. Wydaje szereg szkiców „Friedrich u. die grosse Koalition“, „Betrachtungen eines Unpolitischen“ (1919), „Rede und Antwort“ (1921), wreszcie „Von Deutscher Republik“ (1923).

Wreszcie Mann po dziesięcioletniej blisko przerwie powraca do powieści, tworząc „Zauberberg“ (1924) „Czarodziejską górę“.

W wielkiem tem, zarówno rozmiarami jak i zakresem tematu, dziele wyraził autor wszystkie nurtujące współczesną ludzkość ideały i idee moralne, społeczne i polityczne.

W stacji klimatycznej w Davos zgromadził nam autor przedstawicieli wszystkich narodów wokół centralnego bohatera Niemca Hansa Castorpa. Właściwie jednak bohaterem dzieła jest cała ludzkość z jej tęsknotą do królestwa miłości, pojętej jako ofiara.

Już w Tonio Krögerze powiedział T. Mann: „Być kochanym“ nie jest szczęściem. „Kochać“ — to szczęście.

„Być kochanym — to rzecz słabych, kochać — to przywilej mocnych.

W cieplarnianej atmosferze sanatorjum dla piersiowo chorych rozgrywa się intelektualny pojedynek o sens życia, walka między szerokim humanizmem a ciasnym reakcjonizmem. Wszystkie sprzeczne tendencje naszych czasów dały sobie rendez-vous na tej „zaczarowanej górze“ schorzałości cielesnej i duchowej.

Spotykają się tu wykolejony ze swej „normalnej pracy zawodowej, inż. Castorp, którego niezwykłość otoczenia pobudza do analizy intelektualnej, włoski humanista Settembrini, wreszcie ex-jezuita, heretyk, Padre Naphta, żyd z pochodzenia (jest to ciekawy przykład tego uprzedzenia wśród Niemców do jezuitów, gdzie rozpowszechnione jest mniemanie, że każdy jezuita jest krypto-żydem).

Settembrini — reprezentuje humanistyczną zasadę wolności i demokracji. Naphta — terror i niewolniczą subordynację tyranji. W piekle tych kontrastów dręczy się dusza współczesnego człowieka, rozdarta między fanatyzmem i wielkodusznością, fikcją i prawdą, między demonizmem i człowieczeństwem.

A przecież pozorna kwadratura życia musi mieć jakieś rozwiązanie, muszą istnieć punkty styczne między krańcami ludzkich dążeń.

TYŚ OPOKĄ

Tyś, Piotrze, tą opoką
tą wielką i głęboką
z której łask tryśnie zdrój,
a Ja na tej opoce,
szczyt której Krwią wyzłocę
Zbuduję Kościół Mój!

I przyjdą ludzie różni,
miejscowi i podróżni
pod tej opoki wyż,
a jedni ręce splotą,
a drudzy, tylko po to,
by zerwać znak Mój, Krzyż!

I przyjdzie dzicz najęta
i ludzie, jak zwierzęta
o Krzyż Mój zaczną bój!
Sam czart do Ciebie dotrze,
by nogi gryźć Twe, Piotrze,
i zburzyć Kościół Mój!

Lecz próżne bojowanie,
trwać Kościół nie przestanie,
więc choćby czartów rój
i cała siła wściekła
rzuciła się nań z piekła
Ty jednak się nie bój!

Niech nic Cię nie przeraża
u stóp Mego ołtarza,
bo święty rąk Twych siew!
A Tyś, Piotrze, opoką,
lecz Krzyż trzymaj wysoko,
bo z Krzyża płynie Krew!

Na kogo Krew Ma padnie
ten rzuci się bezwładnie
do Twoich, Piotrze, nóg —
i choćby z czartem zgodnie
za zbrodnią pełnił zbrodnię
jużeś go, Piotrze, zmógł.

Przeminą dnie i lata
potęgi tego świata,
milion się zetrze skał,
królestwa różne zginą,
świat stanie się ruiną,
a Kościół będzie stał!

Zaprawdę mówię Tobie,
Mój Duch w Twojej Osobie
po ziemi chodzi już!
Więc siłą Krwi i Wody
Ty wszystkich ziem narody
wśród dziejów prowadź burz!

Bo Ja, Ci świat poruczę
i Tobie oddam klucze
od mych niebieskich bram,
więc stój na królów czele
i Boże spełniaj cele,
a moc Ci wielką dam!

Aż raz państw wszystkich władze
u Twoich stóp zgromadzę,
by Ci oddały cześć...
Rządź na tym łez padole,
wieść ludziom Moją wolę
i prawdę świętą wieść!

Czyń wina cud i chleba,
wiąż to, co wiązać trzeba,
a grzechy w skrusze łam,
o dobrym pomnij łotrze,
a co uczynisz, Piotrze,
to Ja uczynię Sam!

M. Ster.

DON JOSE ST. NOARRO.

ZARĘCZYNY W KAJDANACH

Z CYKLU „GOŁĘBICA I JASTRZĘBIE".

Wreszcie znalazł się w gabinecie.

— Jestem dedektywem prywatnym — zarekomendował się i podał swe nazwisko.

Szef uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć.

— Znamy się na farbowanych lisach.

Dżems uśmiechnął się także. Ten brak ufności był zrozumiały wobec angielskiego detektywa. Postanowił przełamać jednak odrazu tę ostrożną obojętność szefa niemieckiego wywiadu.

— Czytał pan to? — podsunął mu socjalistyczną gazetę z zakreśloną wzmianką o Amalvi.

Niemiec poruszył się.

— I co pan o tem myśli? — zagadnął Dżems.

Zły blask zamigotał w oczach tamtego.

— Czy tylko, aby zadać to pytanie, przyszedł pan tutaj?

— Nietylko! Także, aby na nie odpowiedzieć.

— Odpowiedzieć! Odpowiedzieć — wykrzyknął szef! — Proszę bardzo! Czekam od dwu dni na odpowiedź!

— Mogę jej udzielić, chociaż mnie pan o to jeszcze nie poprosił — odparł Dżems zadowolony, że to wyrwanie się Niemca potwierdziło jego domysły co do istotnego stanu rzeczy.

— Proszę bardzo! — powtórzył szef, chowając się znów za parawan swej oschłości, jakby żałował że dał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Dżems zrezygnował więc z małego wykładu o angielskiej flegmie i angielskiej dżentelmenerji, w myśl której oczekiwał, że będzie tu trochę bardziej entuzjastycznie przyjęty i zaczął.

— Mam panu do zakomunikowania szereg wiadomości, dotyczących „spadku Amalvi", jak powiada ten świstek, — wskazał na gazetę. Mam nadzieję, że zostanie to należycie ocenione — zrobił pauzę.

Niemiec spojrzał nań bacznie:

— Ile pan chce za swą tajemnicę? — rzucił twardo.

Dżems nie mrugnął nawet okiem, wymawiając sumę:

— Tysiąc funtów!

— Ile! ile — wrzasnął wprost szef.

— Powiedziałem! Tysiąc!

Zapadło milczenie.

— A zresztą możemy o tem nie mówić — rzucił po chwili Dżems — ja mam powody, żeby zaofiarować swe usługi, panowie mogą je odrzucić. Zatem koniec z tem.

Żegnam pana, życząc pomyślnego rozwiązania kwestji.

— Ho! ho! Tylko pytanie, czy ja także zechcę pana pożegnać?

— Zdążył się już pan do mnie przywiązać, że tak z trudem przychodzi mu się ze mną rozstać? — ironizował Dżems, który zdał sobie sprawę z tej groźby.

— Nie to, ale pana chcę do siebie przywiązać. Jest pan niebezpieczny.

— Jestem tylko kosztowny! — cedził Dżems spokojnie. Znam zasady mego fachu, który uprawiam z prawdziwego zamiłowania.

— Nie przeszkadza to panu stawiać wygórowanych cen? — rzucił szef.

— Pan sam doskonale wie, ile jest warta ta przysługa dla urzędu zagranicznego Rzeszy!—rzucił Dżems brawurowo.

Słowa jego wywarły widać należyte wrażenie.

— Proszę, niech pan siada. Pogadajmy rozsądnie— rzekł miękko szef.

— Bardzo się cieszę — zaczął Dżems, — że zrezygnował pan z zatrzymania mię siłą — na nic by się to nie przydało.

— Nawet przez myśl mi to nie przeszło — usiłował zaprzeczać gorliwie Niemiec.

— Tem lepiej! Sam pan bowiem nie rozwiąże tej sprawy.

— Za co więc pan żąda tyle pieniędzy? — zdumiał się tamten.

— Za co? Za wskazanie niezawodnego sposobu rozwiązania.

— Mógłbym zmusić pana do tego?

— To na nic! Gdyż ani ja, ani pan, sami nie poradzimy.

— Zdumiewa mię to? Czyżby miał pan wspólników?

— Tak jest! jestem w zupełności zabezpieczony, aż do ewentualnej interwencji mego ambasadora, w razie gdybym nie złożył mu przewidzianych wizyt. Muszę więc korzystać z zupełnej swobody ruchu, jeśli pan chce nietylko skorzystać z mych informacyj, ale i nie narazić się na przykre konsekwencje.

— Tylko objaśniam sytuację, abyśmy mogli nareszcie przystąpić do rzeczy. Sprawa stoi tak, panowie posiadacie szereg przedmiotów, należących do zaginionej Amalvi, ja zaś znam sekret ich spożytkowania. Ściślej mówiąc znam osoby, które posiadają ten sekret.

— To brzmi bardzo niepewnie.

— Być może! Ale dla mnie to ma w tej chwili najskromniej licząc wartość tysiąca funtów.

— Pan jest zabawny! — roześmiał się szef.

— Właśnie dlatego każę sobie zapłacić tę sumę, albo nic z tego.

— Niesłychane!

— Słusznie. I ja też poczynam się zastanawiać, czy warto dłużej prowadzić tę ogólnikową rozmowę.

— Cóż to z pana za Anglik w tak gorącej wodzie kąpany? — próbował łagodzić szef.

— Nie pamiętam już w jakiej mię, jako niemowlę, kąpano wodzie. Krótko mówiąc tak, albo nie.

— Niech więc będzie tak!

— Proszę zatem przygotować czek na tysiąc funtów i posłać go do przekazu przez Bank Rzeszy. A ja



Tłumy podczas Kongresu Eucharystycznego w Dublinie.

za chwilę objaśnię wszystko. Tymczasem na jakiś kwadrans przerwiemy rozmowę.

Po sprawdzeniu telefonicznem, czy sprawa została załatwiona jak należy Dżems zajął znów miejsce w fotelu naprzeciwko biurka swego interlokutora

— Mogę panu zakomunikować — zaczął — że do Niemiec przybyła z Anglji para. Włochów, czy Rosjan, którzy mają instrukcje od samej Amalvi w sprawie jej dokumentów.

Widać było, że ta wiadomość zaimponowała szefowi.

— Zna pan bliższe szczegóły?

— Tak jest, mogę podać nazwiska figurujące w ich paszportach! Także nazwy hoteli, w których ewent. się zatrzymają.

— Dobrze! Ale skąd pewność, że to właśnie oni?

— Słyszałem fragmenty ich rozmowy.

Wiem, że chcą odzyskać dokumenty Amalvi, gdyż posiadają one wielką wartość. Postanowiłem więc — mówił z szelmiowskim uśmiechem — ułatwić im to zadanie i skierować wprost do źródła.

— A to dobry żart! — śmiał się sucho Niemiec, który zrozumiał sens tego „dowcipu" Dżemsa, ani przeczuwając jakie za tem wszystkiem kryły prawdziwe intencje. Więc co pan proponuje?

— Przypuszczam, że w interesie obu stron leży ich zetknięcie. Myślę, że najprościej będzie, jeśli zamiast mnie każe pan aresztować tych dwoje. Zrobi to pan niewątpliwą satysfakcję. Lubi pan napełniać swe klateczki ptaszkami. Chociaż, moim zdaniem, ptak najlepiej śpiewa na wolności. Dżems mówił to ze zwykłym sobie spokojem, za którym kryła się subtelna ironja. Nie mógł sobie odmówić tej satysfakcji, by nie wyszydzić swego przeciwnika.

— All reight! — rzekł Niemiec. Nie mam powodu nie skorzystać z okazji, którą mi pan nastręcza, jak do tej pory mam pana w rękach, chociaż nie mam go w klatce. Wiem, że rozgrywka przyjdzie później, gdy do jaskini lwa wprowadzi pan tych dwoje. Ale to się udało prorokowi, nie zawsze udaje się innym. Mamy tu świetne urządzenia.

— Widziałem i podziwiałem — odparł Dżems, pochylając czoła przed intuicją swego przeciwnika. Tylko jedna jest rzecz, której nie można zamknąć pod klucz: dusza ludzka. Ona to wyłamuje różne zapory. W jej potęgę ja wierzę!

— Bardzo mi przyjemnie poznać nowy typ detektywa-mistyka. Owszem mam i ja dla pana podziw — rewanżował się Niemiec. Lecz niech pan nielekceważy tych martwych rzeczy są one także wyrazem pracy ducha — wskazał ręką na różne tajemnicze urządzenia swego pokoju.

— Nie lekceważę! Bynajmniej — odrzekł Dżems, w duchu zaś dodał. — Zastanawiam się, jakby je wyzyskać.

Tak wśród tego rodzaju zjadliwych grzeczności obaj przeciwnicy wymacywali swe słabe punkty. Dżems górował nad Niemcem rzutkością wyobraźni, szef zaś metodycznością myślenia, rzetelnym realizmem. Wiarę w moc techniki. Chwilowo spryt Dżemsa zwyciężył. Lecz to był dopiero wstęp. Najcięższa próba czekała w przyszłości, a Dżems nie bardzo wiedział co ma robić. To znaczy postanowił wykraść papiery Amalvi? Ale jak, siłą? Wobec urządzeń tej centrali szpiegowskiej było to prawie nieziszczalną mrzonką. Zatem podstępem? Niejasno krystalizował mu się pewien pomysł.

(D. c. n.)

NIBY KSIENI Z PRZED WIEKÓW...

(W TRZYDZIESTOLECIE ŚMIERCI KAZIMIERY ZAWISTOWSKIEJ)

Historja literatury dziwne nieraz miewa kaprysy: wynosi i wychwala dzieła i pisarzy, którzy na tle swej epoki byli niedoceniani lub wręcz wyśmiewani; zato drwi bezlitośnie z wielkości sztucznie wyniesionych, darzonych za życia laurami, ale, niestety, nie wytrzymujących próby czasu. Wystarczą tu dwa tylko przykłady. Dowodem pierwszego zjawiska niech będzie Cyprjan Kamil Norwid, dzieło literackie którego zostało wydane oraz należycie ocenione dopiero przez współczesność i dopiero teraz oddziaływa na generację młodych poetów z pod znaku „Kwadrygi". Zjawisko drugie potwierdzi „Ziemiaństwo" Kajetana Koźmiana, owo „arcydzieło", które miało w nicość obrócić całą literaturę wczesnoromantyczną, a po wydaniu nie spełniło pokładanych w niem nadziei jako utwór wypracowany, ale bez polotu, choć nie pozbawiony i miejsc ładnych.

Takie przewartościowanie historyczno-literackie tłumaczy się tem, że historja literatury poza dziełami, wydanemi za życia autorów, uwzględnia również to, co pozostało po nich w rękopisach. Historyk literatury, niezwiązany z autorem jakiemiś względami osobistemi, łatwiej wyda o nim sąd bezstronny, będzie umiał docenić to, na czem nie poznali się jego współcześni. Na rękopisach ogłoszonych dopiero po śmierci opiera się cała sława Wacława Potockiego, autora tak znamiennej dla swojej epoki „Wojny chocimskiej". Tak samo jest z Janem Chryzostomem Paskiem, którego arcymistrzowskie pamiętniki prof. Aleksander Brückner uważa poprostu za pierwszy doskonały utwór beletrystyczny. Pozycję w historji literatury polskiej na podstawie utworów, wydanych po śmierci, zdobyła i Kazimiera Zawistowska.



Należąc do legjonu pisarzy Młodej Polski, zgrupowanych wokół krakowskiego „Życia", darzona była poetka ta uznaniem dla swojego dzieła poetyckiego już za życia, w pełni jednak wartości jej dają się określić z oddalenia, po ogarnięciu całokształtu jej twórczości. Piękne słowa charakterystyki poświęca jej odkrywca Norwida, Miriam, który mówi o niej, że „była pośród pisarzy ostatniego pokolenia jedną z najszlachetniejszych i najbardziej udarowanych natur twórczych: królewski przepych wyobraźni wiązał się w niej z dziecięcą prostotą i szczerością, rosna świeżość dziewczęca, „woniejąca stepem, łąkami i borem" — z ogniem namiętności i uniesień mistycznych, którym płonęła jak „sosna w słońcu rozgorzała"; pogoda i słodycz, w których brały początek pieśni „polne i zbożne, kwietne, słoneczne" — z nieukojonym jakimś smętkiem nostalgicznym. Wszystko to, w połączeniu z wysoką kulturą artystyczną, czcią zbożną dla sztuki i surowością wielką względem własnej twórczości, składało się na utwory, uderzające przedziwną kobiecością i ogromną mocą uczucia, drgające życiem, krwią, a zarazem odsłaniające głąb jakąś tajemną, zaświatową, skupione niesłychanie i pełne wnętrznie a grające barwami"

Miriam charakteryzuje tu Zawistowską pod względem walorów treściowych, jeżeli zaś chodzi o formę jej wierszy, to trzeba ją porównać z jakąś ksienią z przed wieków, z okresu średniowiecza, iluminującą pergaminowe rękopisy. Co tamta wydobywała barwą, poetka osiąga melodją i rytmem, stwarzając ze swych wierszy prawdziwe pieścidełka, prawdziwe miniatury, nie ustępujące tamtym, chociaż to inna całkiem sfera. Kołysze nas rytmem wykwintnym, upaja pieściwą melodją słów, olśniewa przepychem barw w obrazach, dając w całości wrażenie długo niezapomniane. Niechaj za przykład posłuży w danym wypadku wiersz p. t. „Ksieni": „Na marginesach sztywnych psałterzy Ksieni szlak zdobny okrasza złotem, Barwi strzelistych lilij oplotem, Jasnością skrzydeł anielskich śnieży. — Na marginesach sztywnych psałterzy Dostojnych Magów zgrzybiałe ręce Pieszczą różane ciało dziecięce. Rozśmiane oczom jak owoc świeży. — Na marginesach sztywnych psałterzy Uczona ksieni skroń wspiera białą I usta wtula w różane ciało — Rozśmiane oczom jak owoc świeży... I po złoconych kart pergaminie Bolesne srebro łez cichych płynie".

Forma utworów Zawistowskiej nosi znamię wysokiego artyzmu, jest zawsze nieposzlakowana. Świadomie czy podświadomie operuje poetka efektami muzycznemi, powracającym i powtarzającym się motywem, który, uchodząc, być może, uwadze naszej, brzmi znaną nutą w naszem uchu. Pod tym względem jest dzieckiem swego wieku, ulega nurtującym poezję epoki prądom, które szły do nas z Zachodu. Jest Zawistowska uczennicą Francuzów i pilną ich tłumaczką, tłumaczką do tego arcyprzednią. Tłumaczy Charles'a, Baudelaire'a, Elmond'a, Blanquernon'a, Tristan'a, Klingsor'a, Albert'a Mockel'a, Albert'a Samain'a i przedewszystkiem Paul'a Verlaine'a, który zmusił ją do wydobywania z połączeń słownych melodji takiej samej jak z połączeń dźwięków.

Ale nietylko formę zewnętrzną przejmuje poetka od autorów zagranicznych. Obok niej przejmuje też niektóre myśli, ustosunkowanie się do życia, ustosunkowanie się do wartości metafizycznych, a przy tem wszystkiem charakterystyczną dla tego okresu frazeologję W tym wypadku jest typową przedstawicielką Młodej Polski z całem jej zakłamaniem, z całą jej pozą i minoderją, która nakazywała najprostsze ludzkie przeżycia nazywać najbardziej zawiłemi nazwami i szukać dla nich najbardziej skomplikowanych wyjaśnień, oderwanych zupełnie od życia. Cała twórczość Stanisława Przybyszewskiego z przełomu wieków, o której najwięcej do powiedzenia miałby psychjatra, jest najdobitniejszym przykładem tego nieporozumienia, które najzwyklejsze uczucia swoje kazało kryć w powodzi słów, które kazało bredzić nonsensow-

nie o duszy, zalewającej się krwią, słowem, pokrywać szczerość poetycką maską. Ileż najtkliwszego, ludzkiego prawdziwie sentymentu jest w poezjach Tadeusza Micińskiego! A jak to sztucznie jest skryte! Nie chce się wierzyć w to wszystko, co piszą poeci Młodej Polski. Intuicyjnie wyczuwa się tam za dużo blagi literackiej i rozmyślnego stylizowania faktów. I u Zawistowskiej to się znajdzie, nie w tak znacznym jednak stopniu jak u pisarzy czołowych owego kierunku.

Kiedy przerzuca się kartki niewielkiego tomiku wierszy, dziwne wytwarza sobie czytelnik pojęcie o autorce. Już chociażby wiersz wstępny każe mu poważniej zastanowić się nad nią. „Moja dusza jest łąką chaotycznych kwieci; — spowiada się Zawistowska — Czasem nęcą ją gwiazdy, czasem usta świeże, A czasem księżycowe ściele sobie leże I z niego w wir życiowych rzuca się zamieci. — Chorą pieśnią ma dusza jest chorych stuleci; Czasem rzewna jak proste prababek pacierze Lub, wmyślona posępnie w mord, krew i grabieże, Jak rumak bezwędzidlny, rozhukany leci”. Przy czytaniu tych słów mimowoli człowiek uśmiecha się. Ileż w tem pozy! Owszem, mogła poetka uczuwać tęsknotę, co jest najzupełniej zrozumiałe po uwzględnieniu faktów biograficznych, ale zaraz przyznawanie się do duszy, która ma być „chorą pieśnią chorych stuleci”! Nie, to nie pasuje do Zawistowskiej. To przyznawanie się, przypisywanie sobie czegoś, co nie leżało w jej charakterze. Jeśli tak pisała, to jedynie dlatego, że taka była.. moda Szczerzej brzmi tylko zakończenie wiersza wspomnianego, gdzie poetka powiada o swej duszy, że „niebawem pokutna znowu w prochu leży I z żalu na twarz padłszy, w niebo jasne wierzy“. W to możemy wierzyć, bo to bardziej do niej pasuje.

Sztuczny gest poetycki Zawistowskiej i naleciałości młodopolskie w jej wierszach szczególnie łatwo dadzą się określić po zestawieniu jej z Adą Koneczną*), która pochodziła z tych samych mniej więcej stron co Zawistowska, z takiego samego środowiska i podobną miała skalę odczuwania. Ustępuje Koneczna nieco Zawistowskiej pod względem bogactwa formy, w wierszach swych wszakże jest szczersza, bardziej ludzka, a przez to nam bliższa. Da się to wytłumaczyć u Konecznej brakiem związków z nurtem współczesnej literatury, gdy tymczasem Zawistowska niejednokrotnie stykała się z bieżącem życiem literackiem. Bezsprzecznie niejedną odniosła z tego korzyść, ale zatraciła wyrazistość swego oblicza przez podciąganie się do poziomu panującej mody.

Nie jest Zawistowska dokładnie sobą w swych wierszach tak, jak to jest w „Księdze ubogich“ z Janem Kasprowiczem, lecz wiersze jej są piękne i ta piękność rozgrzesza ją z błędów literackich. Chcielibyśmy w poezji człowieka z krwi i kości, gdy go jednak niema, nie mamy prawa robić z tego zarzutu poważniejszego.

Jedyny tomik Zawistowskiej przesłania nam żywego człowieka. A przecież jako postać też jest ciekawa. Z fotografji patrzy na nas dziecięcemi oczyma, z dziecięcą grzywką nad czołem. Dziśby porównywano ją z tragiczką chińską Anną May Wong, lecz porównanie takie ma wartość tylko dla nas. Za lat kilka czy kilkanaście zostanie pustym dźwiękiem.

Życie poetki nie obfituje w fakty nadzwyczajne. Żyła krótko. Urodzona w 1870 r. w Rasztowcach, na Podolu, zmarła nagle w Krakowie w 1902 r., w okresie dojrzewania talentu. Córka dr. Henryka Jasieńskiego, publicysty i redaktora „Gazety Narodowej”, wzrastała w atmosferze kultury literackiej. Dzieciństwo zbiegło jej u podnóża Miodoborów, gdzie naprzemian spotkać można było i wróżów-zamawiaczy, i pustelników żarliwych. Jeden z takich samotników, mnich franciszkański, opowiadał jej swe wizje przedziwne, legendy przecudowne o świętych, wprowadzał w sferę ponadziemską. Kiedy umierał, jej właśnie polecił oddać księgę z żywotami świętych, na marginesie których tworzyć miała potem swe wiersze kunsztowne. Nastawienie mistyczne i odczucie melancholją przepojonej przyrody Podola — to zasadnicze rysy jej twórczości, wokoło których obracają się fantastyczne przeżycia w wyobraźni, wyolbrzymione aż do przesady. Po ukończeniu nauki w kraju bawiła w Szwajcarji i Włoszech, kiedy zaś powróciła, poślubiła obywatela ziemskiego Stanisława Zawistowskiego. Na wsi podolskiej, odsunięta od świata literackiego, tworzy swe utwory, nasłuchując bacznie, co się dzieje w Krakowie, do którego zagląda od czasu do czasu i gdzie zaskoczyła ją śmierć.

Nieznana za życia, zyskała sławę po śmierci, stwierdzając tem, że talent prawdziwy prędzej czy później doczeka się uznania. Gdybyż to chciały zrozumieć różne poczciwe poetki, które znają wszystkie redakcje. Nie mają się czem przejmować i martwić zawczasu: każda znajdzie swego Miriama, byle tylko... tworzyła rzeczy takiej miary jak Zawistowska.

Józef Marjan Chudek.

*) Ada Koneczna nieznana jest dotąd w historji literatury. Obecnie szykuje do druku wydanie jej utworów z rękopisów. Przed paroma miesiącami ukazała się o tej poetce mała moja broszura p. t. „Poetka bezpowrotnej przeszłości”.

HUMOR

Mały praktyk.

Ojciec: — Żebyś ty się tak dzielnie uczył jak jesz!

Synek: — W jedzeniu ćwiczę się od urodzenia, a uczę się dopiero drugi rok.

Dobry przyrodnik.

— Czy ta przynęta na ryby jest dobra?

— Tak dobra, że gdy ryba ją połknie, to będzie sobie palce oblizywać.

Litościwe serce cygana.

Sędzia mówi do oskarżonego cygana:

— To wy za to, że gospodyni was nakarmiła ukradliście jej jeszcze w biały dzień dwie najtłustsze gęsi?

— Ja ukraść? — odrzecze cygan. — Niech mnie tak Bóg ukarze na tem miejscu, jeżeli to prawda. Same leciały za mną te gąski, skubały mnie po spodniach, szczebiotały, nie chciały mnie nijak puścić, tylko żebym je wziął ze sobą. Jakże było nie mieć litości nad taką poczciwą gadziną?

Żywa kiełbasa.

Mały Feluś przy kolacji, gdzie między innemi jest kiełbasa w sosie, która mu bardzo smakuje, pyta ojca:

— Tatuś — a jak się nazywa kiełbasa kiedy żyje?

W restauracji.

Gość do kelnera: — Panie, niech pan przyjrzy się tej kurze. Przecież to same kości i skóra.

Kelner: — Czy mam może podać i pierze jeszcze?

POLSKIE MORZE



Na polskiem wybrzeżu.



Ładowanie ryżu na statek angielski.



Pałac biskupi w Pelplinie.



Stary kościółek w Oksywiu.



Starzy rybacy.



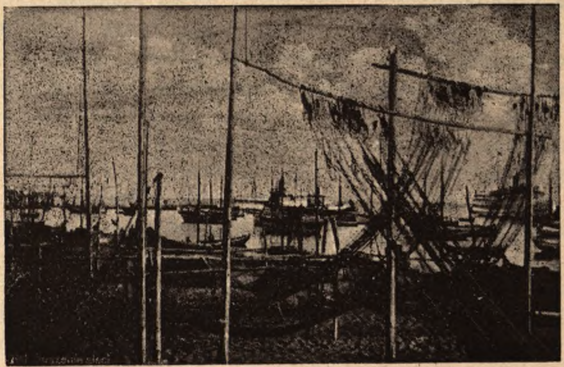
Nowy kościół w Gdyni.
Poza kościołem Kamienna Góra.



Dworzec.



Urząd Pocztowo-Telegraficzny.



Suszenie sieci.



Port rybacki na Helu.



Józef Chełmoński.

ZE SZTUKI

Nowa wystawa w Zachęcie przynosi przedewszystkiem ciekawe eksponaty grupy „Fresk", która stara się wskrzesić u nas tradycje dawnego malarstwa alfresco, to jest na mokrym tynku.

Posługiwanie się farbami roślinnemi w malarstwie, nadaje większą, wiekową nieomal trwałość dziełu, a następnie w efekcie kolorystycznym jest wdzięczniejsze. Łatwo to ocenić z zademonstrowanych nam przez artystów motywów próbnych, odrobionych na wapnie. Bije dziwne ciepło z tych fresków, jakaś szczególna intymność, powstająca z głębokiego przeniknięcia farby w podłoże. Z wystawionych projektów korzystnie przedstawiają się freski przeznaczone dla mauzoleum bohaterów r. 1831 pod Ostrołęką (arch. Zinserling).

Renesansowy rozmach uderza w tych kompozycjach w których patos tragiczny ujęto w szlachetną naogół harmonję kształtów i gestów ludzkich postaci, jakkolwiek możnaby się sprzeczać, czy nie byłaby stosowniejsza pewna prostota. Nie mogą budzić natomiast zachwytów projekty Golińskiej do fresków w kościele św. Jakóba. Uderza w nich pewna brutalność w traktowanych w duchu bizantyjskim figurach. Ociężałość rysunku, twardość kształtu — to nie są elementy sztuki bizantyjskiej, lecz raczej murzyńskiej. Brak zupełny wdzięku nadaje hieratycznym koncepcjom malarki przykry stygmat.

Lepiej pod tym względem przedstawiają się kompozycje Berezowskiej, zwłaszcza pawilon myśliwski.

Dwie sale w Zachęcie zajmuje pośmiertna wystawa rzeźb Biernackiego. Był on twórcą o szerokiej skali zainteresowań, zarówno w zakresie tematów, jak i środków technicznych oraz stylu.

Ostatnie dzieła artysty jak np. Nike zwycięska, tors kobiecy świadczą o szczytach doskonałości technicznej i świadomym umiarze artystycznym.

Realistyczny punkt wyjścia działalności rzeźbiarskiej Biernackiego sprawił, że operuje on niezawodną techniką, a jego polot artystyczny pozwala mu z całą swobodą iść w kierunku nowych dążeń sztuki.

To też pewną dystrakcję wnosi do całości wystawy Biernackiego rzeźba Madonny w drzewie. Grubo ciosane jej, baryłowate kształty kłócą się z całą dotychczasową linją artyzmu Biernackiego. To jedno potknięcie się, czy raczej nieporozumienie twórcze w niczem jednak nie osłabia potężnego wrażenia, jakie rzeźba Biernackiego w nas zostawia, ani nie może uszczuplić sumy artystycznej rozkoszy, którą nam daje.

Obok rzeźby figuralnej artysta ma także duże zainteresowanie dla kształtu zwierzęcego, w tej dziedzinie wykazując się wcale nie mniejszą mestrją i polotem.

(Dokończenie opowiadania „Taka sobie historja").

Prasa radykalna:

„Farsa genewska. Pchły uczą polityków rozumu. Niegodziwy podstęp. Radcę Aphsika podstępnie odesłano do szpitala dla umysłowo chorych".

Prasa komunistyczna:

„Stary porządek w Europie wali w gruzy nawet pchła. Kompromitacja mężów genewskich. Zbliża się czas odwetu. Jeden z męczenników wielkiej sprawy uwięziony".

W każdym bądź razie incydent nabrał dużego rozgłosu. Radcę Aphsika wypuszczono i polecono mu natychmiast wyjechać ze Szwajcarji, oraz nie wtrącić się do nieswoich rzeczy. Owszem pchły może hodować, ale popisywać się z niemi wolno mu tylko w cyrku, a nie w sali Reformacji.

P. radca Aphsik nie bardzo rozumiał, ale niektóre namacalne argumenty ze strony policji nauczyły go szacunku dla nowych panów Europy.

Z TEATRU

Wystawiona w teatrze Narodowym sztuka Croissete'a „Tajemnica zamku Liftsbury" ma charakter nietylko dramatu psychologicznego, ile kryminalnej sensacji. Jest to historja szantażu dokonanego przez szajkę złodziejską. Owszem autor chciał stworzyć atmosferę psychologiczną, lecz zamiaru swego nie przeprowadził do końca. Pod tym względem sztuka jest hultajskim bigosem różnych niedorozwiniętych koncepcyj. Tak też jest podobno w życiu, a dziś modnem hasłem dramatopisarstwa stał się reportaż.

Jak już wspomnieliśmy, autor zaczął krajać na dramat psychologiczny. Punktem wyjścia było założenie, zaczerpnięte z odwrócenia teorji lombrosowskiej o predestynacji do zbrodni i o fizycznym typie zbrodniarza. Autor wysnuwa dowolny wniosek, że skoro zewnętrzny wygląd człowieka, jego fizyczne oblicze predestynuje go do zbrodni, to wystarczy, zmienić człowieka fizycznie, aby zmienić jego oblicze moralne, z przestępcy uczynić prawie anioła.

Ten swój pogląd ilustruje nam Croisset w sposób dość efektowny, stanowiący w jego koncepcji założenie całego konfliktu dramatycznego. Historja jest tego rodzaju, że członkini szajki bandyckiej, obdarzona uderzającą brzydotą zostaje poddana operacji kalotechnicznej, która ma przywrócić czy też nadać jej piękne oblicze.

Wszystko robi się głównie w tym celu, aby złodziejka mogła jako pielęgniarka o miłej powierzchowności dostać się do zamku Liftsbury i ułatwić swą obecnością niecne machinacje szajki. Tym zamysłom staje na przeszkodzie nieprzewidziana okoliczność. Oto „wypiękniona" na twarzy dziewczyna „pięknieje", szlachetnieje duchowo. Zmienia się jej stosunek do życia. Odczuwa moralny otrząs wobec swej przeszłości. Nie da się już użyć za narzędzie występku.

Tu oczywiście otwierałoby się pole dla głębszej analizy duchowej tego problemu, jaki nastręcza przełom duchowy bohaterki. Autor porzuca jednak ten motyw i idzie już coraz wyraźniej i śmielej po linji kryminalnej sensacji.

Tymczasem kwestja zasługuje na pilniejszą uwagę a oświetlenie dramatyczne tych przeobrażeń psychologicznych byłoby artystycznie ciekawe. Niestety autor nie wysunął nawet wszystkich konsekwencyj z tej zamaskowanej zmiany duchowej i raz po raz mamy wątpliwość, czy to przeobrażenie nie skończyło się litylko na naskórku, nie sięgając bynajmniej do serca.

W każdym bądź razie widz ma okazję do nadprogramowych refleksyj duszoznawczych, które powinny mu okupić dość błahą intrygę sztuki.

Oczywiście nie mamy obowiązku wierzyć autorowi, że proste wygładzenie twarzy wygładza fałdy złych skłonności moralnych. Najpierw nie jest żadnym pewnikiem, że twarze niepiękne są właśnie twarzami zbrodniarzy i zwyrodnialców. Sokrates nie miał wcale oblicza Appolina, a jednak...

Ciekawy problem przedstawia sztuka „Bunt w domu popr.". Jest to rzeczywiście ponury obraz stosunków w domu poprawczym dla chłopców. Dozorca tego „więzienia", a zresztą i cała jego dobrana rodzinka, to banda oprawców, która znęca się nad dziatwą, ogładza ją, aby córka dozorcy miała za co kupić sobie strojne fatałaszki.

Sztuka odkrywa nam jeden z ponurych zakątków rzeczywistości. Trzeba stwierdzić, że domy poprawcze, jak to wiemy z procesu wychowawców w Studzieńcu, oraz ze sztuki, są właściwie domami zgorszenia, deprawacji, katowania młodzieży, którą się maltretuje fizycznie i duchowo. Tę kwestję trzeba poddać rewizji, dobrze się więc stało, że taką rewizję podejmuje autor tej interesującej sztuki. **J. Cz.**

Z PIŚMIENNICTWA

Ks. ALOJZY MAJEWSKI. Wanda Malczewska. Echa pośmiertne. Księża Pallotyni. Warszawa 1932. Str. 102.

Niestrudzony propagator kultu Wandy Malczewskiej przygotował w krótkim czasie już trzeci tomik poświęcony jej osobie W tomiku tym autor daje na wstępie szereg treściwych informacyj dotyczących procesów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych.

Z kolei przedstawia materjał charakteryzujący postać duchową świąt. Wandy Malczewskiej na podstawie wiarogodnych zeznań współczesnych jej świadków życia. Dalej następują świadectwa różnych jej czcicieli, którzy doznali za jej pośrednictwem różnych łask, już to przez uzdrowienie z ciężkiej choroby, już to przez pomoc w różnych potrzebach.

Zgromadzenie tych cennych materjałów, rozpoczęte jeszcze przez ś. p. ks. Augustynika, a kontynuowane z wielkiem zapałem i nakładem pracy przez ks. A. Majewskiego, daje coraz bardziej wyrazisty obraz rozszerzania się kultu czcigodnej Wandy Malczewskiej po całej Polsce, a nawet daleko poza jej granicami w Ameryce.

Kulminacyjnym punktem dotychczasowego rozwoju tego kultu była wielka akademja odbyta dn. 20 września 1931 r. pod protektoratem Ks. Biskupa Tomczaka.

Na akademji tej podkreślono szczególne znaczenie tego kultu w życiu narodu. Duchowe odrodzenie Polski przez serdeczne zżycie się całego narodu z Chrystusem Panem obecnym wśród nas w Eucharystji, oto anielska misja Wandy, wielkiej czcicielki, apostołki i służki Eucharystji.

Oby sława Wandy Malczewskiej rozwijała się w Polsce jak najszerzej. **J. Cz.**

Czcigodny Sługa Boży Ks. Wincenty Pallotti. Poprzednik Akcji Katolickiej 1795—1850. Wyd. II. Nap. **Ks. ALOJZY MAJEWSKI.** Warszawa 1932. Księża Pallotyni. Str. 120.

Uroczyste ogłoszenie heroiczności cnót czcigodnego sługi Bożego Wincentego Pallotti'ego w dn. 24. I 1932 roku, wskazało potrzebę opublikowania na nowo jego krótkiego życiorysu uzupełnionego nowemi szczegółami. Dokonał tego ks. A. Majewski, dając czytelnikom pięknie, prosto i barwnie skreślony życiorys czcig. Pallotti'ego oraz zarys programu katolickiego apostolatu, którego był

twórcą, porównując go z Akcją Katolicką.

Wincenty Pallotti był rzeczywiście pionierem idei, która znalazła swój charakterystyczny wyraz w Akcji Katolickiej, podjętej przez Piusa XI. Oczywiście zachodzą pewne różnice między jedną i drugą koncepcją. Apostolat katolicki ks. Pallotti'ego wzywa wszystkich świeckich i duchownych, oraz zakony do akcji apostolskiej. Akcja Katolicka oznacza zaś apostolat świeckich. Apostolat katolicki ks. Pallotti'ego złączony jest ze zgromadzeniem Księży Pallotynów i przez nich dopiero stoi na usługach Kościoła.

Jak rzeczywistość wykazuje zwłaszcza na podstawie stosunków w innych krajach Apostolat katolicki może oddać Akcji Katolickiej wielkie usługi jako szkoła pracowników apostolskich, kadra katolików w czynie. W krajach niemieckich Ap. kat. liczy 600 księży świeckich, około 1500 alumnów, kilka tysięcy nauczycieli i nauczycielek, setki młodzieży szkolnej. Jest to cała armja, z własnym sztabem, działająca też bez wytchnienia a z pożytkiem dla Kościoła i swego społeczeństwa.

O tem wszystkiem mówi jasno i dobitnie piękna broszura ks. A. Majewskiego. **J. Cz.**

K. H. Rostworowski. Zygzaki. Poezje Poznań 1932.

Zbiorek ten zasłużonego, największego z pośród żyjących, naszego dramaturga, prezentuje go nam od strony mniej może znanej, ale ciekawej. Autor „Miłosierdzia", ujętego w formę poetycką, nie robi nam oczywiście zawodu: jest mistrzem rymu i rytmu, które się u niego pięknie zespalają, niby świątynia, nad treścią, jak zwykle znaczącą i głęboką. Skala jego zainteresowań i możliwości poetyckich jest rozległa — znamię to genjuszu. Mamy więc satyry i groteski, liryki i wiersze refleksyjne.

Forma poetycka kunsztowna, ale nie sztuczna. Znać artystę, co biegle włada narzędziem i nie obija sobie i innym uszu nieskładnością wiersza, coraz dziś pospolitszą w okresie inflacji poezji.

W zbiorku uderza, jak zresztą w całej twórczości Rostworowskiego pierwiastek refleksyjny religijno-moralny. W mocnem Confiteor autor woła:

I nie strofuj mię zbytnio, że dla mnie, człowieka, droga do Betleemu tak była daleka, że bliższe mi się stały bezduszne bałwany, wśród nich najwszeteczniejszy, ten w mózgu ciosany ślepiec, głuch, co się Prawdy dopóty zarzeka, póki dziesięciu palców nie włoży w jej rany — Panie mój! Choć zapalasz i gasisz gwiazd krocie, serce ludzkie zapalisz tylko na Golgocie! Więc — by duch mój w ciemnościach nie zgasł jak meteor, U stóp Twoich odmawiam głośne Confiteor.

Wiersz „Powrót" drukowany był w swoim czasie na łamach naszej „Rodziny Pol.". **Cz.**

JÓZEF BIRKENMAYER. Wycieczka. Wiersze. Rok 1932.

Miło mi zanotować ukazanie się tego zbiorku, w którym czytelnicy odnajdą dobry dziesiątek utworów drukowanych na łamach R. P. jak np.: Opuszczony okop, Cień, List do przyjaciela oraz wiele innych. Nie potrzebuję więc wysilać się na pochwały poety, którego utworom zawsze jak najchętniej otwieramy swe łamy.

W utworach Birkenmayera zwraca uwagę duża skala możliwości poetyckich, świetnie opanowana technika, pełna umiaru w stosowaniu tak popularnego dziś asonansu Poeta nie goni za wyszukanym rymem, ale unika choćby cienia nawet banalności, to też jego rymy dźwięczą zawsze szczerem złotem. Ten szlachetny kruszec formy ma przytem głębsze pokrycie w treści. Poeta żyje refleksją i umie ją zasugestjonować czytelnikowi w artystycznej formie, pełnej wyrazistej i celowej ekspresji. Wystarczy, że wspomnimy tu o „Opuszczonym okopie". Z tego okopu zniszczenia i śmierci otwierają się szersze perspektywy na życie ludzkie, budzą się gorzkie, ale i pokrzepiające myśli. Bo jeśli tak można do głębi widzieć i wyrazić życie, to można chyba na tej głębi zbudować lepszą przyszłość.

Nie wątpimy, że wielbiciele talentu Birkenmayera zechcą mieć pod ręką zebrane w całość jego utwory. **J. Cz.**

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA. Macierzyństwo i wiersze różne. 1932. Poznań. Str. 46.

Znana powieściopisarka dała nam piękny i wzruszający zbiorek poezji. Ziszczone macierzyństwo otwarło poetce nowe perspektywy duchowe, z których spowiada się nam w swych wierszach. Nam, a przedewszystkiem swemu mężowi, któremu je dedykuje. Oto wymowny przykład tej harmonji ideowej w małżeństwie, która nadaje mu wartość naprawdę nieprzemijającą, która sublimuje, uszlachetnia to, co dzisiaj przeciętnie stało się pastwą kaprysu.

Poetka wczuwa się głęboko w treść macierzyństwa, jako faktu o wielkiej skali wartości i znaczenia dla niej i dla jej dziecka. Woła więc:

„Pragnę godną być Twej łaski, Panie,
Pragnę dziecku dać żywot słoneczny,
Niech się synem Twoim, mój syn stanie.
I zdobywa życiem — żywot wieczny".

Szczęście życia rodzinnego obrazuje wiersz „To trzecie"...

Byliśmy jako dwa ptaki,
jako dwa białe gołębie,
co się tuliły do siebie
na gniazda własnego zrębie...
A potem przyszło to „trzecie"
zasiadło pomiędzy nami,
serca zgarnęło ku sobie,
malusieńkiemi rączkami...
I coś się w życiu zmieniło,
w służbie małego tyrana,
wzrośli nagle na ludzi,
którym i dusza jest dana"...

Tak przemawia nam poetka, budząc w nas przychylny oddźwięk. Wyjątkowo może musimy jej zaprzeczyć, gdy przestrzega syna: „nie badaj źródeł, z których czar życiowy będziesz pił..."

Zła to przestroga. Szczęście nie polega na złudzie. W szczęściu czy niedoli musi górować twarda świadoma myśl. Z zatrutych źródeł bije zwodniczy czar. To też trzeba umieć go rozróżnić, jeśli nie chce się zmarnować własnego życia.

J. Cz.

„Joasia ze Sierczy". Piękna ta książeczka, której autorem jest gimn. prof. Ludwik Młynek, podaje opis ostatnich chwil życia Joasi. Opis ten składa się z 10 elegij autora i 2 utworów okolicznościowych samej Joasi.

Całość robi nader miłe wrażenie. Poznajemy bowiem z powyższej książeczki prześliczny charakter cnotliwej Joasi ze Sierczy, tej młodocianej działaczki społecznej i poetki jaśniejącej wyższością ducha ponad swoje otoczenie.

Do nabycia w Księgarni Tow. Szkoły Ludowej w Krakowie, ul. św. Anny l. 5. po cenie 2 zł. za egzemplarz. Cały dochód przeznaczony na budowę „Ochronki Joasi ze Sierczy".



NA FALACH CZASU

Opinja polska ma szczególne powody do pilnego śledzenia wypadków w Niemczech. Przemiany społeczne w tym kraju, którego polityka obraca się w znacznym stopniu na osi nienawiści do Polski, nie mogą być nam na żaden sposób obojętne. Wszystko bowiem, co się dziś w Rzeszy dzieje mówi o ostatecznym zwycięstwie ludzi z pod znaku tej nienawiści.

Gdyby można nazwać jednem określeniem stan rzeczy w Niemczech, najwłaściwsze byłoby powiedzieć, że jest to kontr-rewolucja etapami. Odbywa się ona w akompanjamencie wyraźnej zupełnie wojny domowej, jeśli nie owijać prawdy w bawełnę.

Jaki cel tej kontr-rewolucji? — Odpowiedź krótka — doprowadzenie do restauracji monarchji. Usunięcie — co za tem idzie — demokracji niemieckiej — mniejsza z tem ile była warta?

Jest w tem szczególny paradoks dziejów, który umiejętnie wyreżyserowała polityka niemiecka. Obalona w podmuchach rewolucji listopadowej 1918 r. monarchja, na której gruzach powstała weimarska republika niemiecka, odradza się dziś w blasku.

Pierwszym krokiem do tego były wybory z r. 1926, kiedy po raz pierwszy wyszedł z urn wyborczych „demokracji niemieckiej" carski generał Hindenburg, reprezentujący w sobie wszystkie tradycje dawnego reżymu. Odegrał on rolę Konrada Walenroda wobec młodocianej republiki, odegrał przytem z takim skutkiem, że w drugich wyborach na wiosnę tego roku nawet socjaliści „musieli" nań głosować. Warto sobie zapamiętać ten epizod republikanizmu w praktyce, który kazał znaleźć w carskim generale „reprezentanta" zdrowego sensu demokracji.

Dowodzi to jasno bezsilności twórców koalicji weimarskiej, płonności ich politycznych nadziei „na wyrost".

Nawet von Papen, b. członek Kat. Centrum, które było jednym z twórców konstytucji republikańskiej, w czasie niedawnego obchodu jej rocznicy nie znalazł dla niej ani słowa



Stanisław Wspiański. *Stary wiarus.*
Rysunek do „Warszawianki".

uznania. Ani razu w swem przemówieniu oficjalnem nie wypowiedział słowa „republika". Mówił natomiast gorąco o „narodzie niemieckim zjednoczonym w niemieckim państwie".

Słowo republika zostało już wykreślone, rychło patrzeć, jak zginie i sama jego treść.

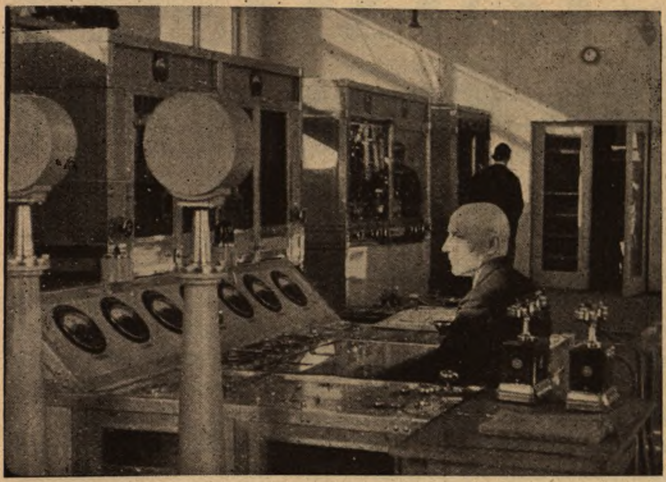
Ostatni obchód jubileuszowy był prawie stypą pogrzebową, zanim jeszcze stwierdzono oficjalnie zgon republiki.

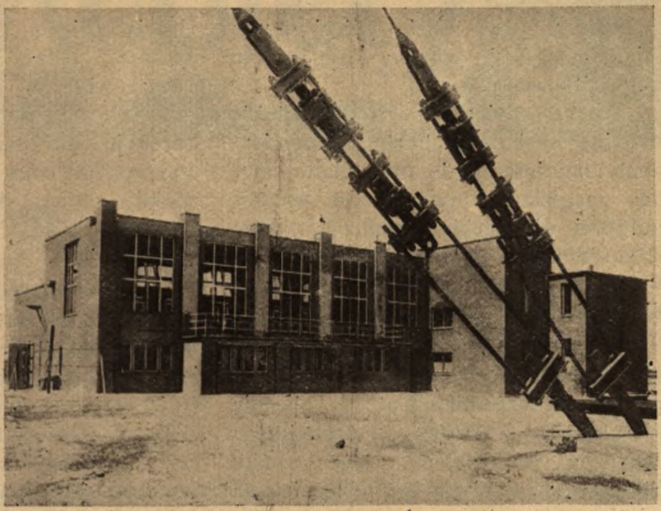
W tej całej kabale politycznej szczególnie przykra rola przypadła dwu czynnikom: socjalistom i katolickim centrowcom. Wzrost politycznych wpływów socjalizmu w Niemczech należy już do przeszłości. Mandaty poselskie i władza zwłaszcza w Prusach — to już wspomnienia. Po ostatnim zamachu stanu von Papena, który usunął wbrew wątpliwościom konstytucyjnym rząd pruski, złożony przeważnie z socjalistów, stało się jasnem, że socjalizm w Rzeszy przestał już znaczyć. Nie zdał on, jak i w wielu krajach świata, że wymienimy jednem tchem Austrję i Australję, — egzaminu rządzenia państwem. To wystarcza.

W rządach samej Rzeszy socjalizm musiał dzielić ciernie i laury z centrum katolickim. Siła tego ostatniego tkwiła w niewzruszoności jego kadr, które w płynnem dość życiu niemieckiego partyjnictwa, gdzie wyrastały i rozrastały się, jak grzyby, dwa potężne odłamy komunizmu i nacjonal-socjalizmu, stanowiło najbardziej trwały element. Ta statyczność centrum do czasu stanowiła jego siłę. Lecz nadszedł moment, gdy dynamika życia niemieckiego wysoką falą zaczęła się przelewać ponad zbyt mało elastycznemi elementami.

Przyszły wydarzenia, które o całe niebo przerastały doktrynerskie pojęcia o demokracji. Trzeba było się uciec do paljatywów, byle tylko za wszelką cenę utrzymać wierność doktrynie. W imię jej centrum łączyło się z socjalistami, w imię jej gotowe się połączyć z hitlerowcami.

Centrum było tak dalece ustabilizowane, że właściwie wśród ogromnej zmienności dynamiki całego życia niemieckiego poczęło się stawać trochę zacofanem. Świadczy o tem przedewszystkiem statystyka wyborcza, która wykazuje spadek uzyskanych głosów z 21 proc. na 16 proc. ogólnej liczby wyborców. Centrum podobnie, jak chrześć. społecz. partja w Austrji, i także nasza chrześć. dem. rozporządzało coraz bardziej minimalnemi wpływami wśród młodego pokolenia, które szło raczej za hasłami komuny czy Hitlera.





Urządzenia radjostacji warszawskiej „Polskiego radja". Aparatura, oraz umocowanie jednej z wież.

Ten to brak przystosowania swego programu do wymagań młodego pokolenia stanowi właśnie piętę achillesową ruchu chrześć. społ. w Niemczech i nietylko tam.

Nie zbywa zresztą centrowcom na pewnym radykaliźmie społecznym, o czem świadczą choćby uchwały 2.500 delegatów chrz. związków zaw. na zjeździe w Monachjum, gdzie rzucono hasło upaństwowienia kopalni. Lecz ten radykalizm niema rozpędu tam, gdzie nawet jest zdrowy i konieczny, gdzie może się okryć powagą słów książąt Kościoła, jak kard. Faulhabera, który głosi ostatnio z niezwykłą mocą potrzebę przebudowy ustroju społecznego.

A przecież taki zdrowy radykalizm społeczny byłby właśnie jedynem wskazanem podejściem do problemu rządzenia. Toć słusznie powiedział ks. biskup Prohaszka, że demokracja socjalna podobna jest budowli na palach, wzniesionej nad stojącemi wodami i bagnami egzystencji proletarjatu. Kto osuszy te bagna usuwając nędzę proletarjatu, ten stwierdzi, że palisady demokracji są zbyteczne; tego wydają się nie rozumieć niektórzy.

Dystansuje ich też Hitler i komuna. Ta ostatnia rozporządza potężną siłą pięciu miljonów głosów i kilkudziesięciu posłów. Czyni to z Niemiec najpotężniejszą w Europie zach. bazę przyszłej rewolucji; gdyby się ją udało rozpętać, Niemcy będą jej pierwszym etapem.

Politycy centrowi, mimo że nie brak im wybitnych przywódców w rodzaju Brüninga, jakkolwiek wciąż jeszcze stanowią element przydatny do popierania rządów, coraz mniej jednak mogą zdobywać władzę w imię demokracji.

Toć już gabinet Brüninga, tylko formalnie zależny był od parlamentu, ale siłę swą czerpał z zaufania prezydenta, którego dekretami rządził. Odszedł też nie wskutek votum nieufności parlamentu i utraty większości, ale wskutek intryg zakulisowych i utraty zaufania Hindenburga. Utworzenie gabinetu von Papena i rozwiązanie parlamentu, to był drugi etap kontr-rewolucji, a wnet przyszedł trzeci, rozpędzenie rządu pruskiego i mianowanie von Papena komisarzem dla Prus. Obecnie zbliża się etap czwarty, oddanie władzy hitlerowcom, którzy kontr-rewolucję prawicową zakończą, zmieniając konstytucję weimarską i ustanawiając „trzecią Rzeszę".

Czyby tego centrum nie dostrzegało? „Germania" podaje następujące informacje o stanowisku centrum sprecyzowanem przez przedstawicieli stronnictwa Joosa i Bolza na konferencji z kanclerzem Papenem.

Centrum musi żądać przyjęcia całkowitej odpowiedzialności przez stronnictwa, uczestniczące w rządzie. Chodzi przedewszystkiem o otwarte p r z y j ę c i e współodpowiedzialności przez narodowych socjalistów. Za gwarantowane być musi ścisłe przestrzeganie konstytucji i lojalna współpraca rządu z parlamentem. Wszystkie inne wyjścia wiodą nieuchronnie na bezdroża.

Dalsze istnienie obecnego gabinetu Rzeszy jest niemożliwe. Gabinetowi temu bowiem brak podstaw i warunków do opartej na zaufaniu owocnej pracy.

Pięknie to brzmi, lecz dowodzi wyraźnie, w jakim pozostaje centrum stosunku do rzeczywistej rzeczywistości.

Rząd von Papena, oparty o Reichswehrę gen. Schleichera nie cieszy się zaufaniem centrum, bo przecież można się za nim słusznie domyślać intrygi junkrów spekulujących na rychłą restaurację monarchji.

Czyżby lepszy był Hitler, którego celem jest dyktatura?

Bo rzecz w tem, czy ta dyktatura rzeczywiście przyniesie polepszenie doli wielkich mas społecznych? Czy Hitler, żyjący z subsydjów wielkiego przemysłu będzie rzeczywiście powołanym wykonawcą reform społeczno-gospodarczych, których Niemcy oczekują?

Sprawę tę podejmuje wybitny publicysta red. Schönere Zukunft dr. Eberle.

Jego broszura „Zum Kampf um Hitler" zrodziła się z głębszej troski o przyszłość Niemiec; w hitleryzmie widzi on syntezę wszystkiego zła i dobra, które stanowi treść życia Niemiec Niby pożar na stepie panoszy się idea nazich, twarda i moc na w zarysach, przemawiająca aktualną treścią do zdezorjentowanych politycznie i zniszczonych gospodarczo mas. Autor z siłą podkreśla, że to, co dawniej nazwano Kulturkampfem szerzy się wciąż po świecie, w formach odmiennych od bismarckowskich, czy leninowskich, ale nie mniej groźnych.

Oto anonimowa gospodarka kapitalistyczna (pozostająca pod wpływem masonerji i żydostwa) dokonywuje wielce szkodliwej moralnie i społecznie pauperyzacji ludności tradycjonalistycznie chrześcijańskiej. Została ona ekonomicznie zepchnięta do katakumb, w których rozpaczliwie się dusi. Jednocześnie bowiem rozpętano propagandę sekularyzacji życia, z pod znaku doczesnego humanizmu.

Tak we dwa ognie wzięci muszą Niemcy stać się pastwą komunizmu albo hitleryzmu.

Trzeba stwierdzić, że dr. Eberle mówiąc o katakumbach ekonomicznych bynajmniej nie przesadził. Upadek gospodarczy najszerszych warstw ludności niemieckiej stanowi jeden z paradoksów powojennych Niemiec, w którym kryje się jednak poważne niebezpieczeństwo dla Europy.

Z istoty tego faktu zdają sobie ra cję w Niemczech pewne koła, skupione wokół pisma „Tat", a obecnie dziennika „Volkische Boobachter". Jeden z przywódców tego ruchu Strasser wymieniany był ostatnio na wicekanclerza i premjera Prus. Głosi on, że Niemcy są właściwie krajem antykapitalistycznym, że kapitalizm jest przystawką obcych interesów, sprzeczną z organicznym interesem Niemiec. Trzeba Niemcy wyzwolić z tego nowego feudalizmu.

Aby nabrać pojęcia o istocie rzeczy zestawmy kilka faktów. A więc Niemcy mają 6—7 miljonów bezrobotnych, gdy jednocześnie w okresie powojennym ich majątek narodowy wzrósł o 10 miljardów. Niemcy uskarżają się na to, że ciężary reparacyjne zniweczyły zdrowe podstawy ich gospodarki. Wystarczy tu zaznaczyć, że Niemcy wypłaciły odszkodowań 11 miljardów, a pożyczyły od zagranicy 25 czy jak mówią inni 40.

Oto drugi przyczynek do fikcji ich bankructwa.

Faktem natomiast pozostanie przesunięcie się kolosalnych bogactw do rąk jednostek, które w istocie rzeczy za parawanem demokracji niemieckiej, tak gorliwie popieranej przez socjalizm i centrum, robiły interesy na „klęsce" swego narodu.

Te świetne interesy zaczęły się od t. zw. inflancji, która była najwięk. szwindlem finansowym, jaki znają dzieje, była ona też pierwszem decydującem pociągnięciem do pauperyzacji całego społeczeństwa niemieckiego na rzecz kilku wtajemniczonych przedstawicieli anonimowego kapitału. Stworzono ersatz pieniądza, zmieniający nieomal co minuta in minus swą wartość, sięgającą astronomicznych wprost cyfr w swej nicości.

Drugi szwindel wiąże się z kwestją odszkodowań. Tępy doktrynerzym niektórych zwycięzców w rodzaju Lloyd Georgea nałożył na Niemcy rzeczywiście wysoki jeśli nie nadmierny ciężar odszkodowaniowy. Uczciwy jego wykonawca mógłby istotnie zostać przezeń zniszczony. Tego właśnie oczekiwano. Anglja zawsze widziała w Niemcach konkurencję dla swego eksportu. W dwunastym roku po wojnie Niemcy zdołały znowu Anglję zdystansować na temże polu. Oto „sens" zwycięskiej wojny.

Lecz w Niemczech nikomu nawet się nie śniło dotrzymać zobowiązań odszkodowaniowych. Niemcy nie czuły się pokonane, ani winne wywołania wojny, tembardziej więc nie myślały o zapłaceniu odszkodowań. Zaczęły się targi, które poprzez plan Jounga doprowadziły do układu w Lozannie. Z astronomicznej sumy 250 miljardów, zredukowanej potem do 60 zostało zaledwie 3 miljardy.

Pytanie, czy Niemcy je zapłacą?

Hitler np. wyraźnie powiada: **nie!** nigdy.

Po podpisaniu układu lozańskiego jakiś „dowcipny" berlińczyk nadesłał Herriotowi 5-o miljardowy banknot niemiecki z okresu inflancji z dopiskiem: to na pokrycie odszkodowań wojennych.

Fakt ten jest podwójnie symboliczny. Oddaje on właściwe tło całej przewrotnej polityki finansowej Niemiec na wewnątrz, a także i na zewnątrz!

Podobno „brat Herriot" uśmiechnął się z tego dowcipu. Jest on niewątpliwie dość wtajemniczonym, aby zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje i o co idzie.

Niemcy stały się narzędziem olbrzymiej rozgrywki anonimowych potęg. Co się za niemi kryje? Przedewszystkiem żydostwo. Podkreśla to katolicki publicysta Eberle.

Woła on: „Czyż duch Bismarcka ostrzejszego jest godzien potępienia od francuskiej masonerji lub też anglosasko żydowskiej plutokracji?".

Sprawa żydowska w Niemczech stała się palącem zagadnieniem, które musi być załatwione choć nieco może inaczej, niż tego chce Hitler. Niemcy są w rękach żydowskich zarówno pod względem duchowym jak i finansowym. Świadczą o tem nazwiska Ludwiga, znanego historyka, Wolffa, znanego redaktora, którego żona zaplątana była w aferę sowiecką, dalej pisarzy: Kaisera, Tollera, Kalmana, Benatzkij'ego, Hirszfelda, Bernharda, reżyserów teatralnych Reinhardta, Piscatora.

60 proc. prasy codziennej uzależnione jest od żydów. A wpływy żydowskie na życie gospodarcze? Wystarczy wspomnieć o aferze braci Schklarek, czy Barmatów, o kulisach Stinnesa, aby odpowiedzieć na to pytanie.

W polityce narzędziem żydostwa stała się oczywiście socjal-demokracja, zdolna wywołać w całej Europie zawsze w odpowiedniej chwili przychylny dla Niemiec rezonans.

Przypomnijmy choćby słynną interwencję Bluma, przywódcy socjalistów francuskich. Przypomnijmy sobie sen. Boraha z miasta „Bismarck" U. S. A.

Dla socjaldemokracji triumf von Papena jest klęską, zepchnięcia do roli szykanowanej opozycji. Czy jest natomiast klęską żydostwa, którego narzędziem była w dużym stopniu socjaldemokracja? Monarchja pruska ma w swej tradycji przymierze z żydami. Przymierze to dotrwało do wojny europejskiej, w której trakcie żydzi popierali Wilhelma II m. in. z nienawiści do carskiej Rosji. Dopiero zagłada imperjum Romanowych a jeszcze bardziej przekonanie, że Niemcy, mimo wszystko, wojnę przegrać muszą, skłoniło ich do przerzucenia się zawczasu na stronę koalicji i do skorzystania z możliwości rewolucji socjalistycznej która przymierze z monarchją zastąpiła bezpośrednią władzą nad „demokratyczną" Rzeszą.

Odradzanie się Niemiec sprawiło żydom szereg dramatycznych niespodzianek, z których, nie licząc straty Róży Luxemburg, pierwszą, bardzo dotkliwą, było zamordowanie Rathenaua a ostatnią, niezwykle groźną, żywiołowy rozwój hitleryzmu, który żydom grozi poprostu zagładą. Jeśli Niemcy wyjdą z okresu ciągłych wyborów, jeżeli ustabilizuje się rząd nacjonalistyczny, zaspokajający uczucia szowinistyczne niemieckie — hitleryzm może stracić rozpęd.

Na to właśnie liczą żydzi, zwłaszcza pewni, że obecny rząd Papena, rząd właściwie wilhelmowskich junkrów nie zrobi im krzywdy. A Reichswehra w rękach gen. Schleichera da sobię radę z Hitlerem i jego antysemityzmem. Tak liczą, czy słusznie przyszłość pokaże?

Stąd perspektywa restytucji monarchji tak ze stanowiska żydowskich interesów ogromnie ważna nabiera coraz większej wyrazistości. Przemawia za tem zarówno interes finansowy jak i narodowy żydostwa, a jego wymowa zawsze wybitnie ciążyła na Niemczech.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Niestety! po krótkiem i niedoskonałem zebraniu się w sobie wnet zewnątrz myślą wylatamy: i nigdy ze ścisłym rozbiorem, nie roztrząsamy spraw naszych.

Nie zważamy na to, gdzie uwięzły upodobania nasze: i nie ubolewamy nad tem, że wszystko w nas jest tak nieczyste i niecne.

Zaiste „wszelkie ciało popsowało drogę swoją" i dlatego nastąpił potop wielki.

Gdy więc wewnętrzne uczucie nasze wielce jest zepsutem, zatem koniecznie iść musi, zepsucie w uczynkach, które są wskazówką wewnętrznej mocy lub słabości naszej... Z czystego serca rodzi się owoc dobrego życia.

Tomasz a Kempis.
O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Ś. P. MICHALINA Z CZYŻEWSKICH MOŚCICKA

Pierwszy poryw żalu nie ogarnia tak dokładnie ogromu ciosu, jak to czyni fala powolna. Dwa miesiące już blisko dzielą nas od chwili wstrząsającej wiadomości o zgonie ś. p. Michaliny Mościckiej, małżonki Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, a smuga smutku i dotkliwe poczucie straty pogłębia się coraz wyraźniej wśród społeczeństwa.



Jest to bezwątpienia najlepszą miarą cichej, a jak doniosłej w skutkach działalności tej Dostojnej Pani.

Dziś niema chyba jednego obywatela w kraju, którydy nie wiedział, jak przeszła przez życie ś. p. Michalina Mościcka, jak żywy i bezpośredni—brała w niem udział, ale zatrważający będzie ten legjon, który bezpośrednio odczuje Jej odejście.

To będą dzieci!

Na nich zawsze skupiała się najbaczniejsza uwaga i troska ś. p. Michaliny Mościckiej. Wystarczy przyjrzeć się dziełom Jej życia, aby przekonać się niezbicie, jak zawsze głęboką dobroć serca łączyła z nakazami rozumnej woli i hartu ducha.

Jeszcze na długo przed odzyskaniem Niepodległości, w okresie stałego pobytu państwa Mościckich za granicą, czy to w Londynie, czy we Fryburgu, dom państwa Mościckich był ostoją dla kolonji polskich. I przy sprawach wielkiej wagi jakie się tam koncentrowały, przy sprawach decydujących o przyszłości losach kraju ś. p. Michalina Mościcka zawsze znajdowała czas na otoczenie troskliwą opieką dziatwy polskiej na obczyźnie

A cóż dopiero po powrocie do kraju. Gdy wybucha wojna ś. p. M. Mościcka wstępuje do Ligi Kobiet i znów serdeczną troską otacza nietylko polskiego żołnierza, ale i te dzieci, którym należy umożliwić przetrwanie, aż do powrotu ojców! W 1919 r. cała myśl twórcza i ofiarność ś. p. Michaliny Mościckiej ześrodkowuje się na Ochotniczej Legji Kobiet broniących Lwowa, w której czynny udział bierze Jej córka.

W Niepodległej Polsce, kiedy jako małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej osiada na Zamku ś. p. Michalina Mościcka nietylko nie ustaje w pracy, lecz nawet wzmaga jej aktywność, ożywiona głębokiem poczuciem obywatelskich obowiązków. I może dopiero dziś, gdy nieubłagane zrządzenie losu przerwało pasmo tych prac pożytecznych, zdajemy sobie sprawę z poniesionej straty. Ileż organizacyj społecznych, charytatywnych i zawodowych kobiecych odczuje bolesny brak Dostojnej i Szczodrej Protektorki.

A nadewszystko dzieci, polskie dzieci, o których serduszka i umysły, o których potrzeby fizyczne, tak bardzo troszczyła się ś. p. Michalina Mościcka. Rada

Szkolna m. st. Warszawy znajdowała w Niej zawsze Łaskawą i Gorącą Popleczniczkę. Nawet czując się już niezdrową, ś. p. Michalina Mościcka nie odmawiała nigdy swej obecności na zebraniach na Zamku, a dla najmłodszych swych gości z ochronek i szkół powszechnych miała zawsze matczyny uśmiech i uścisk serdeczny.

Cześć pamięci Zacnej i Świetlanej Pani! Niechaj w sercach dziecięcych na zawsze pozostanie o Niej wspomnienie, jako o tej, która Naród polski pragnęła widzieć naprawdę odrodzony i dlatego troskę swą serdeczną zespoliła na dzieciach.

Redakcja.

CO ROK NOWE ŻYCIE

Nie jest to bynajmniej gołosłowne powiedzenie, że człowiek co rok zaczyna nowe życie. Potrzebą naturalną ludzkiej psychiki jest dzielenie życia na pewne okresy. To stanowi ład i porządek istnienia, a pozatem jest podporą sił, które się co pewien czas wyczerpują. Jeżeli się nam niepowodzi, z radością myślimy, że przyjdzie nowy okres, następny rok, od którego spodziewamy się polepszenia warunków. I ta nadzieja, ta wiara w lepszą przyszłość staje się źródłem energji do przetrwania złej teraźniejszości. Niekiedy tylko mylimy się co do jednej rzeczy. Sądzimy, że sam czas wyrówna wszystkie braki. A tymczasem do poprawy trzeba bezwzględnie dobrej woli i pracy naszej.

Jest też duże zróżniczkowanie pojęć co do terminu rozpoczęcia roku nowego. Kalendarzowo przypada on 1-go stycznia. Dla niewielkiej garstki ludzi stanowi datę obowiązującą, mimo, że świat cały północ sylwestrową uroczyście spotyka. Świat finansów, za okres przełomowy uważa chwilę zamknięcia bilansu za rok ubiegły, co przypada zazwyczaj na wiosnę. Świat życia rodzinnego, rok każdy swego istnienia normuje z rozpoczynaniem zajęć szkolnych. Powraca się z wywczasów, z nowym zapałem sił, zdrowia i pogody ducha. I staje się do wzmożonej pracy.

Niema takiego domu, któryby w swej organizacji pod koniec każdego roku nie nasuwał pewnych zastrzeżeń. Ale zawsze wszelkie poprawy złych nawyków odsuwa się w myśli do pewnego określonego momentu, a jest nim — jesień.

„Jak powrócimy z letniska, wszystko będzie inaczej". Humor mamy będzie lepszy, zdrowie dzieciaków doskonałe, ojciec będzie się cieszył, że ma znowu wszystkich razem. No i będzie dobrze. I dopiero wtedy zaczyna się źle, gdy po pierwszych paru dniach radości i harmonji wychodzą na jaw dawne braki i niedociągnięcia, które przechowały się po kątach domostwa w doskonałym stanie. Też miały wakacje — i zaczynają działać ze wzmożoną siłą. Aby tego smutnego rozczarowania nie przeżyć poraz setny i nie utwierdzać się w przekonaniu, że wszystkie dobre chęci i zamiary nic nie są warte, trzeba już w końcu pobytu na wywczasach pomyśleć o domu.

Gdy tęsknimy do domu, zdaje się on nam droższy i wart dużego nakładu sił i pracy. To też obmyślanie wszystkich zmian na lepsze będzie owocne i celowe. A jak jasno umysłem wypoczętym obejmować będziemy wszystkie braki naszego domostwa i jak proste, jasne, a radykalne znajdować będziemy rady? Pomocą wielką w tej pracy teoretyczno-konstrukcyjnej będzie nakreślony plan działania na cały rok następny. To nie za wiele, to może nawet za mało. Bo rozmach naszego życia powinien daleko sięgać w przyszłość i projektami zadań obejmować lat dziesiątki.

W planie obejmiemy wszystkie czynności i zadanie jakie sobie postanowimy zrealizować w ciągu najbliższego roku, uwzględniając rozwój wypadków, trudności finansowe, możliwości niespodziewanych przeszkód i t. d. Dzięki tym daleko idącym przewidywaniom ochronimy się od tak często spotykanego zniechęcenia, które na wstępie staje się naszym udziałem.

My bowiem planujemy sobie całe szeregi rzeczy drobnych i dużych, usiłujemy wykonać je na czas, a natrafiamy na trudności ponad naszą możność zapobieżenia zmianom, które bynajmniej nie idą w myśl naszych początkowych zamierzeń.

Często spotykamy się z ostrą krytyką otoczenia, które nie omieszka podkreślić: „no i cóż? Plan nic nie wart. bo i na co ci się przyda"? Krytyka taka jest krótkowzroczna i niesprawiedliwa. Plan mógł być doskonały, tylko nie można go było mieszać z pojęciem drugiem rozkładu zajęć, który łatwo może ulec zmianom, nie wpływając bynajmniej na plan ogólny.

Plan zaś wykonany w zmienionym rozkładzie, czyli kolejności zajęć poszczególnych, może jedynie ulec opóźnieniu, a i to w wypadkach rzadkich, chyba, że w grę wchodzi jakaś strata finansowa lub nie daj Boże, choroba.

Plan ogólny zajęć pani domu obejmować powinien kilka grup. Przedewszystkiem po powrocie nasuwa się konieczność uporządkowania domu, uczynienia go zamieszkałym i powabnym. Jeśli dom był należycie pozostawiony przed wyjazdem, doprowadzenie go do kwitnącego stanu używalności wymaga zaledwie dwóch, trzech dni. Tyle, ile potrzeba na omiecenie ścian, pomycie drzwi, okien i zaciągnięcie podłóg. Rozstawienie mebli, pozawieszanie czystych (upranych przed wyjazdem firanek jest kwestją paru godzin miłego krzątania.

Gdy mamy dom uregulowany, nasuwa się sprawa paląca, wyekwipowanie dzieci do szkół. Robimy sobie spis rzeczy niezbędnych do kupienia, szkicujemy kosztorys i rozkładamy sobie sprawunki na pewne określone dnie. Lepiej dzieci ze sobą nie zabierać, aby umęczone bieganiną nie traciły bezprodukcyjnie nabytych sił na wsi. Gdy trzeba iść do krawca po mundurek, należy wybrać uprzednio sklep, dowiedzieć się o cenę i jakość i przyjść dopiero wtedy z dzieckiem do przymiarki, gdy wiemy, że w danym sklepie dostaniemy tego, co nam potrzeba. To samo należy czynić z podręcznikami. Lepiej telefonicznie informować się, czy książka potrzebna nie jest wyczerpana. aniżeli biegać po mieście bez tchu i już na początku dawać wolny wstęp do domu bezładowi i niepotrzebnemu umęczeniu.

Po sprawach szkolnych troską najbliższą będzie garderoba wszystkich domowników na zimę. Porządek w szafach, zapoznanie się z tem co się ma, daje łatwą orjentację tego, co komu dokupić należy, co można dać do przeróbki, a co odświeży się sposobem domowym. Lepiej o tem wszystkiem pomyśleć spokojnie i zawczasu, bo i wydatki wtedy bardziej się rozkładają i nie przerażają wielkością ogólnej sumy.

Na odpowiedzialności matki spoczywać będzie także ogólny tryb życia codziennego. Unormowanie godzin pra-



cy, snu, posiłków i rozrywki, czy odpoczynku. Już taki przestrzegany ład i porządek dnia jest wielkiem wytchnieniem. I wtedy codzienne czynności nie wydają się ani tak nużące, ani tak trudne do wykonania, a atmosfera ogólnej pogody będzie wielkim skarbem dla ducha i zdrowia. Nie będzie bezcelowe ujęcie w pewne normy naszego współżycia towarzyskiego. Bez ludzi żyć nie można. Rujnować się jednak na przyjęcia nie można tembardziej. Musimy również wziąć rozbrat z bezceremonjalnością odwiedzin. Przychodzenie do najbliższych i najserdeczniejszych o każdej porze jest dużym nietaktem, a może stać się nawet złośliwością.

Oznaczmy sobie dzień w miesiącu, czy w tygodniu wolny od prac specjalnych i powiadommy znajomych, że będziemy chętnie ich widzieli u siebie. Nie znaczy to bynajmniej, aby podobne określenia „dnia przyjęć" obowiązywało do wystawnego przyjęcia. Traktujemy to raczej jako ustalenie naszej obecności w domu, która pozwala nam na podtrzymanie stosunków towarzyskich z ludźmi bliskimi i miłymi, z którymi jednak dzielić będziemy „taki chleb", jaki posiadamy.

Co rok rozpoczynamy nowe życie, oby więc każdy był lepszy od poprzedniego!

Marja Ankiewiczowa.

CO SIĘ MÓWI O SPORTACH?

— Wyrabiają sprężystość, zwinność i odwagę. Hartują, pobudzają ambicję siły. Zwyciężają lenistwo w naturach ospałych. Przygotowują do walki z przyrodą.

Mówią jedni.

— Odrywają od nauki. Oduczają przestawania z książką. Kierują myśl tylko w jednym kierunku swego sportu, więc zacieśniają horyzonty myślenia. Piłka, tennis, boks, wiosło, narty motocykl, oto wszystko.

Mówią drudzy.

I, jak w każdym jednostronnym sądzie, tak i w tych jest dużo prawdy, choć w żadnym niema prawdy całej. Bo, że pęd młodości do ruchu — jest rzeczą naturalną, że pewne odrzucenie konwenansu jest wygodą, że samodzielność nęci, a ryzyko podnieca — prawda.

A że zatracenie się w danym sporcie — oszałamia, że intelekt młody może na tem cierpi, że wszelkie zacietrzewienie się w jednym kierunku, ogłupia — to też prawda.

I tu znów refleksja: gdyby Walasiewiczówna nie oddawała się z całą furją młodego temperamentu spor-

tom, nie brałaby na amerykańskich igrzyskach X-ej Olimpjady w Ameryce, złotych medali. Nie przysparzałaby razem z Weissówną i Kusocińskim chwały dla sportu polskiego.

Dla tak młodego sportu!

Boć niedawne te dzieje, kiedy gimnastykom nie pozwalali Moskale na ćwiczenia z drążkiem, bo był podobny do karabina. A widocznie głęboko tkwiła w nich wiara, że: jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

Przecież wychodząc na rogatkę we trzy osoby, bo byłam zawsze zwolenniczką pieszych wypraw, spotykałam się z pytaniem groźnego stójkowego:

— Gdzie idziecie?...

Więc mówi się dużo o owych sportach, ale mało kto mówi, że jednak każdy niemal sport, to zbratanie z naturą. To zbliżenie się do dzieła Bożego. Że ta wielka przestrzeń, którą się mierzy, to rezerwoar ożywczy dla płuc, a dla myśli temat bez granic. Że ta burza, która w upalny dzień gromadzi chmury na horyzoncie i ciska piorun, paląc niebo błyskawicami, to coś czemu ten mocny, ten zwinny, ten odważny sportowiec, nic przeciwstawić nie może. Że ta rzeka, pełna wirów, czujność jego musi wzmagać, że fale morskie obijające się o brzegi, bez wytchnienia, bez odpoczynku, mówią o wiekuistej pracy Wielkiego Stwórcy. Że te cuda okalające każdego sportowca, wcześniej czy później muszą porwać myśl jego w te rejony, z których ona wraca tęższa i pełniejsza. I że niezawodnie patrzy on na sprawy ziemskie inaczej, aniżeli by patrzył wracając z dancingu, lub od zielonego stolika.

To także wielki dorobek i doniosłe zwycięstwo sportu.

L. Kotarbińska.

WOBEC ZAGADNIENIA JESIENI

Jeszcze niebo wyposaża nas hojnie blaskami słońca, a my, niewdzięcznicy, zaczynamy już myśleć o jesieni. Zamiast zapamiętać się w radości chwili obecnej, stajemy się czujni na nadciągającą przyszłość. Czy robimy dobrze? Czy przez zbytnią przezorność nie odzieramy z uroków rzadkich momentów szczęścia, któremi życie nas obdarza? Z całą pewnością — nie. Bo usiłowanie zaoszczędzenia sobie przykrych rozczarowań lub niespodzianek w najbliższej przyszłości, dzięki rozumnym przewidywaniom i zaradności w niczem nie osłabia pogody ducha — raczej powinno być stosowane jako najwłaściwsza asekuracja.

Każda zmiana sezonu przynosi ze soba nowe radości i nowe ...zmartwienia. Ledwośmy przebrnęli letnią inwazję, aż tu zbliża się jesienna. I znów kłopoty — co będzie z mocno podniszczoną garderobą. Czasy są ciężkie, a jednak ubrać się trzeba. Zresztą coby to było, gdyby wszystkie kobiety nagle zastrajkowały i przestały kupować buciki, kapelusze, suknie, choćby przez pół roku. Z pewnością byłoby to ostatecznym ciosem dla naszego handlu i przemysłu. I znów zastępy ludzi straciłyby chleb i dach nad głową. Dlatego też powstrzymywanie się od zakupów nie jest właściwa drogą do uzdrowienia stanu ekonomicznego ani Polski, ani całego świata zachwianego finansowo. Zato marnowanie grosza bezprodukcyjnie i bezmyślnie powinno być przez wszystkich zaniechane.

Schludnie i porządnie ubrać się trzeba. Musimy więc być przygotowani na to, że z nadejściem jesieni trzeba dzieciom kupić mundurki, ciepłe paltka, czapki, buty. Kupujmy rzeczy niewiele, a zato w dobrym gatunku, aby wystarczyły na długo. Wpajajmy w dzieci poszanowanie dla odzieży, uczmy je umiejętnego noszenia, składania i czyszczenia, aby ich ubranie jak najdłużej zachowało świeży i staranny wygląd.

Ubranie dziecięce jest dostępniejsze w cenie, natomiast ubranie rodziców więcej nastręcza trudności. Tu już w grę wchodzą, nietylko koszt normowany gatunkiem, ale zagadnienia mody, gustu i celowości garderoby. Na szczęście moda męska zmienia się powoli i nieznacznie. Natomiast kapryśna moda kobieca dostosowywa się łaskawie do wszelkiej skali gotówkowej. Zaczyna być naprawdę praktyczna nie rezygnując z elegancji.

Elegancja mody współczesnej jest bardzo wykwintna. Polega na szlachetnem stosowaniu barw i prostocie linji kroju. Przytem daje idealną furtkę dla wszelkich możliwości przeróbkowych. Latem mieliśmy sukienki kombinowane z dwuch materjałów, nie rzadko z dwuch odmiennych kolorów. Zimą będą dozwolone te same kombinacje, z tą tylko różnicą, że dwa różne materjały muszą być w tym samym kolorze o stosowanych odcieniach.

Do kompletów najwykwintniejszych będą należały suknie i płaszcze z miękkich prążkowanych lub wytłaczanych wełen w dwuch odcieniach. Np. suknia szafirowa, płaszcz do niej ciemno-granatowy podbity podszewką pod kolor sukni. Jedyną ozdobą sukni mogą być guziki błyszczące lub matowe, obciągane z materjału lub pod kolor dobrane z dżetu. Pasek z materjału tego co płaszcz z błyszczącą klamrą. Futrzane wykończenie płaszcza stanowić mogą, albo opossy, szare karakuły, albo też płasko prasowane antylopy.

Połączenia kolorów, które będą się cieszyły największem powodzeniem to: bronzowy z rdzawym, verfbuteille z ciemno-zielonym i marengo z czarnym. Przybrania bronzowe lub szare. Wielkiem powodzeniem cieszyć się będą małe czapeczki aksamitne, (jedyne zastosowanie aksamitu w garderobie damskiej w obecnym sezonie), bereciki sznelkowe spinane na klamerki z monogramami.

Nadal obowiązuje utrzymywanie w jednym tonie woreczka, rękawiczek, pantofli i nakrycia głowy. Jest to naprawdę wykwintna i racjonalna metoda ujmowania w pewną określoną ramę sylwetki kobiecej — oby jak najdłużej była przez panie przestrzegana.

Nadmienić jeszcze trzeba, że ogólny charakter owej sylwetki kobiecej nie uległ przewartościowaniom. Długość sukien spacerowych utrzymuje się do połowy łydki, na wieczór obniża się do kostki. Talia zachowuje linję naturalną, jedynie sztuczne poszerzanie ramion przy nadmiernem obciskaniu bioder jest ostatnią troską pań o kształtach obcisłych.

Marja.

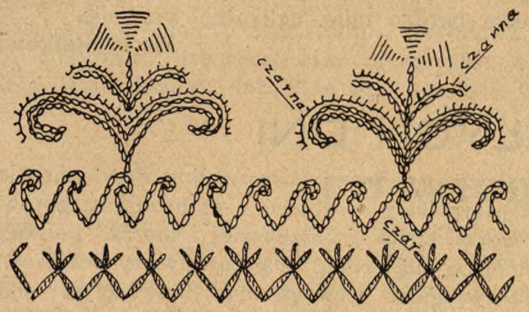
WYSZYCIA NA KURPIACH

Mówiąc o haftach ludowych musimy zdać sobie sprawę z tego, że zanikają one coraz bardziej i tylko usilną pracą i szperaniem po wiejskich zakątkach możemy odnaleźć jakieś szczątki. A jednak z takich wyblakłych, wystrzępionych szmatek urabiamy sobie obraz, jak wielkie było niegdyś wśród ludu zamiłowanie do zdobnictwa i jak starannie wyplenia je z chat wiejskich licha, miejska tandeta. Przypatrzmy się haftom kurpiowskim.

Ludność kurpiowska tworzy dwie oddzielne wyspy etnograficzne, północną i południową, lecz tylko w pierwszej zachowała się odrębność rodowa.

Właściwa ludność kurpiowska zamieszkuje puszczę Zieloną zwaną również Myszyniecką, Ostrołęcką lub Nowogrodzką. Leży ona na prawym brzegu Narwi pomiędzy Ostrołęką, Nowogrodem, Kolnem i Chorzelami.

W tym ośrodku należy szukać haftów Kurpianek,



Wyszycie kurpiowskie.
opracowała Marja Stefkowa.

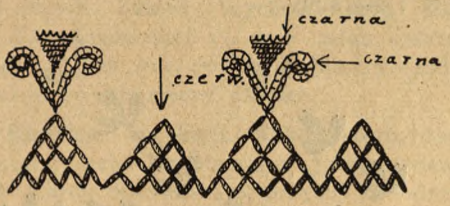
które w dawnych latach tworzyły prawdziwe arcydzieła hafciarskie.

Kołnierz koszuli kobiecej, naramienniki i oszywki przy ręce zdobiły szlaczki i koła składające się z maleńkich, drobnych stożków, punkcików, smużek, kwadratów.

Bardzo ciekawem wykończeniem motywu zdobniczego są tam trójkątne listki, zwane wiatraczkami. Przy brzegu wyszywane bywały zdobniki zwane pieskami. Hafty te wyszywane bywały tylko czerwonym zapałem, zaś czarna nitka „wydobywała“ t. z. podkreślała kształt motywu lub zdobiła ornament „stebnówką“ i ściegami piaskowemi.

Ścieg piaskowy powstaje przez dwa lub trzy ściegi wbite w tem samem miejscu. Wiatraczki bywały zdobione czemś w rodzaju szczoteczki.

Hafty kurpiowskie na koszulach widywanych w muzeach wydają się nam niedoścignione, zwłaszcza



Wyszycie kurpiowskie.
rys. Marja Stefkowa.

widziane przez szyby gablotek. A jednak jeżeli rozpatrzymy się w tych licznych ściegach i oryginalnym kształcie zdobniczym, poznamy wielką piękność haftów kurpiowskich.

Nadzwyczajną pomocą w tej pracy jest znakomicie opracowany artykuł Marji Karczewskiej z licznemi rysunkami i tablicą ściegów Jadwigi Korzeniowskiej. Artykuł ten umieszczony był w dodatku do tygodnika „Kobieta Współczesna“ Nr. 52—53, „Mój Dom“.

Przeglądając starannie to pismo możemy nauczyć się doskonale jak piękne są hafty kurpiowskie. Podajemy dwa wzory haftów Kurpianek w barwach czerwonej z czarnem podkreśleniem.

W ostatnich czasach rozpowszechniły się w świecie hafciarskim wyszycia kaszubskie i liczne rynki zbytu były niemi zarzucone.

Możeby obecnie wprowadzić w modę obok tamtych również wyszycia kurpiowskie, które żywą barwą i wybitnym swojskim charakterem podniosłyby piękność stroju kobiecego.

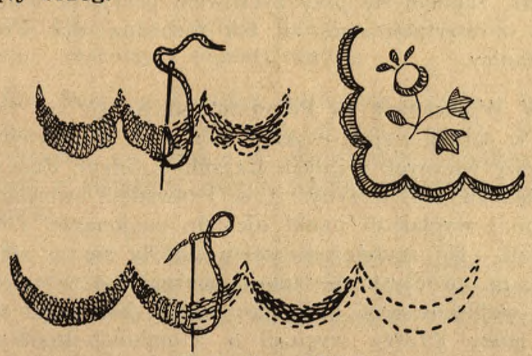
Nie parafrazujmy jednak wzorów, lecz wyuczmy się najpierw dokładnie techniki tych wyszyć by tworzyć arcydzieła, a nie arcydziwolągi.

Marja Stefkowa.

ZĄBKI DO BIELIZNY

Liczne hafty, koronki i gipiury wykończone bywają ząbkami, które nadają im bardziej strojny charakter. Ząbki przy bieliźnie, chusteczkach i kołnierzykach używane bywają tak przez mieszkankę miasta, jak i przez wieśniaczkę z zapadłej wsi, gdzie nie dochodzą żadne żurnale, ani wzory zagraniczne. A jednak każda wieśniaczka wie to od swojej matki czy babki, że ząbki wyszywa się przy kołnierzu koszuli kobiecej i przy mankietach, na dolnym brzegu fartucha, przy strojnej spodnicy, lub chuście na głowę.

Ząbki takie bywają półokrągłe lub śpiczaste, podwójne lub potrójne. Niekiedy fantazja hafciarska tworzy prawdziwe arcydzieła z małych i większych ząbków powiązanych z sobą w kształtną całość. Brzegi chustek krakowskich wykończone bywają ząbkami z dziurek ułożonych w jednym lub dwuch rzędach. Takie dziurkowane ząbki zbliżają się do koronek, są jednak bardzo trudne do wykonania, gdyż łatwo uszkodzić nadcięty brzeg.



Technika ząbków.

Przy wyczynianiu ząbków wszelkiego rodzaju musi być zachowana ta sama technika. A więc najpierw ułożenie planu i przystosowanie wielkości ząbków do bielizny, następnie po dokładnem odrysowaniu ich na materjale podwlekamy kontur drobnemi ściegami, zaś puste miejsce pomiędzy brzegami wypełniamy łańcuszkiem. Mając już podwleczone ząbki, dziergamy je w ten sposób, jak to uwidocznione jest na rysunku. Musimy jednak bardzo uważać, by ściegi były równe, igłę wbijając dokładnie w kontur, przez co rysunek będzie piękny i staranny.



Wyszycia na koszuli wieśniaczki z Żywca.

Kobiety wiejskie w Polsce we wszystkich prawie dzielnicach zdobiły swą bieliznę ząbkami, lecz ułożenie ich i przyozdobienie nie wszędzie było jednakie.

Na Pomorzu robiono ząbki ostre, stojące równo przy brzegu jak zakończenie sztachet. Ząbki takie zwą się tam „caki“ od niemieckiego zacken i bywają przeważnie wyszyte w kolorze niebieskim.

Białe hafty w okolicy Krakowa, Kielc i Sandomierza miały ząbki półokrągłe, potrójne lub złożone z dziurek, koło Sącza i Grybowa haftowano w każdym niemal ząbku jakiś kwiatek lub dziurkę. W powiecie lwowskim zdobią znów krezy przy koszulach i rękawach w ten sposób, że układają po trzy ząbki, każda grupa w innym kolorze, więc n. p. trzy ząbki czerwone, trzy niebieskie, trzy zielone lub żółte i znów czerwone. Niekiedy ząbki takie bywają ułożone z dzierganych kółek, co bardzo oryginalnie wygląda.

Na rysunku podajemy część krezy od koszuli wieśniaczki z Żywca.

Haft wykonany jest na cienkiem, białem płótnie, czarną bawełną. Drobne listeczki, przecięte przez środek robią bardzo miłe, delikatne wrażenie.

Marja Stefkowa.

ECHA—Z UBIEGŁYCH DNI

Magistrat warszawski, w porozumieniu z organizacjami: Rady Szkolnej m. W-wy, Ligi szkolnej przeciwgruźliczej, Caritas i in. główną swą działalność w sprawie wypoczynkowej dla dzieci skierował na to, aby półkolonje trwały pięć tygodni — dając możność przebywania dzieciom na powietrzu, przez cały dzień.

Z półkolonji Rady szkolnej korzystało w tym roku 4.500 dzieci, dostając rano mleko i bułki, w południe zupę z chlebem, na podwieczorek mleko i chleb z masłem. Było to dla dzieci ubogiej miejskiej ludności błogosławieństwem.

Rada Organizacyjna Polaków z zagranicy, otworzyła w Jordanowie kurs dla nauczycieli, którzy mają pracować na wychodźtwie. Jak piasek morza jesteśmy rozsypani po całym świecie. Jest nas zagranicami kraju siedm miljonów, a w szkołach nawet polskich, są nauczyciele, którzy nigdy w Polsce nie byli. Kierownikiem kursu jest były dyrektor kolegjum polskiego w Kurytybie p. Chruścielewski. Na razie, na kursie jest 40, wykwalifikowanych nauczycieli. Oczywiście niezawodnie zjawią się i kobiece kandydatury, tem więcej, że już doświadczenie wykazało jak praca kobiet w zakresie szkolnictwa na ziemi francuskiej, wydaje dobre rezultaty.

Spodziewać się należy, że tymczasowo zorganizowany kurs, zamieni się przy życzliwem przyjęciu władz naszych, w instytucję stałą, a tak niebędną dla Polaków z zagranicy.

W Wejherowie na Pomorzu, odbyły się w sierpniu misje w parafji wejherowskiej. Na misje te przybyły liczne rzesze wiernych z całych Kaszub, z Gdyni, Pucka, Helu, Gdańska, Kościerzyny i t. d. Prowadzili ćwiczenia duchowne i wygłaszali nauki ojcowie misjonarze, Dominik i Urban. Na zakończenie misji odbyły się w niedzielę, 17 ub. m., uroczyste nieszpory, poczem lud zebrał się na rynku wejherowskim, gdzie porywające kazanie o znaczeniu i mocy Krzyża wygłosił o. Dominik. Po kazaniu, wśród uroczystego nastroju, z wzniesionemi w górę rękoma, tysiączne rzesze na poszczególne zapytania ojca Dominika przyrzekały uroczyście: „że bronić są gotowi całości Pomorza, ziemi Kaszubskiej i morza polskiego, że z niemniejszą siłą bronić są gotowi wiary praojców przed każdym wrogiem wewnętrznym, usiłującym podważyć fundamenty tej wiary w społeczeństwie, rodzinie i duszach jednostek, że wiernie stać będą pod znakiem Krzyża i pod sztandarem Kościoła św., że mocni na duchu dążyć będą, w myśl wygłaszanych nauk i kazań misyjnych do poprawy dusz i serc, do uszlachetnienia charakterów, do wzajemnej miłości, zgody i jedności“.

Kto zna twarde życie mieszkańców ziemi Kaszubskiej i całego Pomorza, które wyrobiło ich silne charaktery, ten wie, że nie na wiatr u nich idą słowa. A pragnąć tylko będzie, aby ten wiatr od morza niósł po całym kraju echa w ich miłości do wiary i ziemi ojczystej.

Trzy osady warsz. Klubu wioślarek i dwie warsz. Tow. wioślarskiego wypłynęły ze Stołpców (dokąd osady i tabor wyjechały koleją z Warszawy) do Warszawy, Niemnem — Czarną Hańczą — (o której cuda opisuje nam Wanda Miłaszewska w swej pięknej książce, p. t. „Czarna Hańcza“) jeziorami Augustowskiemi — Nettą — Biebrzą — Narwią do Wisły.

Ruszyły na „Narwi“ wioślarki: p. Meleniewska, Jadwiga Zwierzchuczewska, Ad. Rutkowska, Jadw. Kozierowska. Na „Warcie“: Ew. Jankowska i Hel. Chelsea (obie Polki z Ameryki, bawiące w ojczyźnie na studjach językoznawczych, jako stypendystki), dr. W. Górska i dr. M. Pfaffius. Na „Piórku“: Hel. Ryszkiewiczówna i Hel. Andraszkówna. Na „Łabie“: p. B. Szuliński, Leitzke, Wojczyński i Klim. Na „Prośnie“: dwóch pp. Ziegenhirte'ów (ojciec i syn), J. Kubec i Zaniewski.

Sierpień, słońce, zdrowie — humor i podróż po naszej własnej wodzie!

Żaden kryzys takiemu szczęściu nie da rady.

To też, mimo nawet przygody skąpania się jednej z łodzi, bez wypadku złośliwego, wycieczka się udała. Zrobiono wiele obserwacji, zanotowanych do ulepszenia,

nabyto doświadczenia i, dano hasło do spędzania dni wypoczynku w zdrowych warunkach.

Nieocenionem dorobkiem jest oglądanie kraju na własne oczy w różnych zakątach, nie koniecznie po utartym gościńcu i wzajemne poznawanie się ludzi różnych, związanych jednak jednym uczuciem — miłości własnej ziemi i jednym celem jej dobra — pojętem w najszerszem znaczeniu tego słowa.

Siostry miłosierdzia, prowadzące pod wezwaniem Matki Boskiej Loretańskiej, „Szkołę wychowawczyń domowych" na Czerniakowie pierwsze swe wychowanki puszczają w świat.

Trzyletni program nauk obejmuje pedagogję, higjenę i psychologję dziecka, literaturę dla dzieci, rysunki, śpiew polski, religję, metodykę pogadanek z dziećmi, przygotowywanie posiłków dla dzieci, szycie na potrzeby domu ze szczególnem uwzględnieniem bielizny i ubranek dziecięcych, haft.

Zakład mieści się w ogrodzie, w ciszy przerywanej śmiechem dzieci z przedszkola, które służy jako materjał w stosowaniu praktyki internistkom zakładu.

Szkoła jest własnością Magistratu. Zawodowe nauczycielki, utrzymanie dziewcząt oraz przedszkole, otacza swą opieką Min. Oświaty, łożąc na ich pensje i utrzymanie.

Dotąd, domy zamożniejsze sprowadzały wychowawczynie z Anglji, Niemiec lub Szwajcarji, bo u nas nie było odpowiednio przygotowanych sił do opieki nad dzieckiem.

Domy zaś, w których pani ma zawodową pracę, doktorki, adwokatki, urzędniczki, były przejęte wieczną troską, czy przy najlepszych chęciach, dziecko ich jest odpowiednią otoczone starannością, osoby jednak — niekompetentnej.

W tej chwili **Zakład Wychowawczyń Domowych** przy ulicy Czerniakowskiej 47, daje pełną gwarancję, że osoby, przez nie polecone, godnie spełnią swe zadanie wobec powierzonego ich pieczy dziecka.

Dom Katolicki im. kard. Kakowskiego, zbudowany według planów arch. Konstantego Jachimowicza, przy kościele św. Karola Boromeusza, przy ul. Chłodnej, przedstawia się wspaniale. Mieści dużą salę teatralną, bibljotekę i pomieszczenia, z których będą mogły korzystać liczne związki i stowarzyszenia, czego brak dotąd dotkliwie dawał się odczuwać w życiu korporacyjnem. Zaznaczyć należy, że gmach powstał dzięki ofiarności parafjan i, jak zwykle, wysiłkiem wielkiej energji jednego człowieka, tym razem proboszcza, czcigodnego ks. prałata Aleksandra Fajęckiego. **R.**

CO WIEDZIEĆ TRZEBA?

Wiedzieć trzeba, że wyszła nowa książka kucharska nakładem Domu Książki Polskiej p. Marji Zawadzkiej p. t.: „Co będzie na obiad". Książka zawiera tygodniowe jadłospisy na 4 sezony roku, następnie przepisy na zupy i dodatki do zup, potrawy z mięsa, drobiu, zwierzyny, ryb, sosy, potrawy z mąki, kaszy, jaj, jarzyn, sałaty i leguminy.

Wiedzieć trzeba, że obecna ustawa o meldunkach przewiduje obowiązek meldowania noworodków w terminie 48 godzin po narodzeniu, niezależnie od tego, czy imię było nadane, czy nie. Tymczasem ludność lekceważy sobie ten przepis.

Wydział ewidencji ludności zwraca uwagę na konieczność stosowania się do przepisów i meldowania dziecka, nawet nieposiadającego jeszcze imienia w ciągu 48 godzin od chwili przyjścia na świat..

Wiedzieć trzeba, że służba domowa w Warszawie będzie musiała niebawem mieć książeczki służbowe, które mają zawierać orzeczenie o jej sprawowaniu. Książeczki należy wyrabiać zaraz.

Wiedzieć trzeba, że bez Radja żyć dziś nie można. Że ten mały aparacik wiąże nas najbezpośredniej ze wszystkiem co się na szerokim świecie dzieje. Że idzie jesień i zima i że zwłaszcza w małych miasteczkach i na wsi, Radjo zapewnia najmilsze towarzystwo i łączy z wynikami kultury całego świata.

Więc: gdzie go jeszcze niema, na gwałt zakładać należy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wiktorji Zal... Z całą gotowością zanotujemy wiadomości nam nadesłane. Tylko tą drogą możemy wzajem sobie nieść pomoc.

P. Zofji Krucz... w Warszawie. „Narodowa Organizacja Kobiet" bardzo gorąco zajęła się więźniami, którzy, po mękach życia w bolszewji, wrócili do Ojczyzny. Tam więc niech Sz. Pani zasięgnie informacji. Biuro czynne od 10—3 — Wiejska Nr. 3.

P. Michalinie Kosk... w Truskawcu. My odebraliśmy 9 zeszyt „Morza" za wrzesień. Niech Pani zwróci się do Redakcji Nowy-Świat 35. Numer jest bardzo ciekawy, poświęcony opisom „Święta Morza". Zawiera przemówienia: Prezydenta państwa, Eugenjusza Kwiatkowskiego, który niebywałe zasługi położył twórczą swą pracą na terenie portu w Gdyni i gen. dyw. Gustawa Orlicz-Dreszera, przewod. Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Zeszyt jest bogato ilustrowany, szkoda byłoby, żeby nie doszedł rąk Pani.

P. W. L. w Poroninie — istotnie długie wieczory sprzyjają robotom ręcznym. P. Marja Stefkowa, nasza cenna współpracowniczka, dostarczy pani niezawodnie wzorów, które pani są potrzebne. Najlepiej adresować wprost na Topolową 5.

P. Lili Niem... w Lublinie. Bardzo dziękujemy za miłą propozycję. Czekamy z niecierpliwością.

P. Kar. Racz... w Lublińcu. Śląsk dobrze znamy, każda wiadomość jest dla nas ciekawa z tej połaci ziemi naszej, która odznacza się dzielnością charakterów i wytrwaniem przez wieki w strzeżeniu: wiary, języka i obyczaju. O artykuł prosimy.

P. Br. Niek... w Płocku. Ostatni numer „Małego Apostoła" cieszy się, jak wszystkie, wielkiem powodzeniem u swych Czytelników. Małej Zosi dziękujemy za przypisek na liście Mamusi.

KĄCIK DLA DZIECI

KAMIENNY CHLEB.

O milę na północ od Gdańska, ku Puckiej zatoce, w miasteczku Oliwie wznosi się piękny kościół i klasztor, ongiś bogate opactwo Cystersów, założone w r. 1176 — jak tradycja niesie przez Sambora, księcia pomorskiego Klasztor od XIII wieku ulegał smutnym losom. Dnia 24 września 1224 r. bałwochwalcy Prusacy klasztor zburzyli i mnichów wymordowali. Kilkakrotnie odbudowywany, niszczony był przez pożary i wojny. Kiedy w r. 1577 Gdańsk nie chciał uznać władzy króla polskiego, Stefana Batorego, mieszczanie gdańscy ogniem armatnim zniszczyli klasztor, by nie mógł być ostoją króla. Klasztor ten pamiętny jest traktatem Oliwskim zwanym, zawartym w r. 1660 między Szwecją i Polską; wtedy to Polska utraciła na rzecz Szwecji północne Inflanty i uznała niepodległość Prus, które potem do rzędu królestw się wyniosły. Kamień z napisem blisko kościoła umieszczony przypomina tę kartę historji. Kościół wewnątrz piękny. Wielki ołtarz i ambona przecudnie złocone, 40 cennych obrazów w ołtarzach i kaplicach. Słynne organy kunsztownej roboty; w chórze mają spoczywać zwłoki założyciela klasztoru. W prześlicznym ogrodzie, ciągnącym się aż do morza wznosi się dawny pałac opata. Wśród różnych osobliwości pokazują w kościele pod szklanem przykryciem kamień kształt bochenka chleba mający i taką legendę o nim opowiadają:

Za czasów Leszka Białego w Gdańsku i okolicach głód wielki panował. Chcąc dopomóc ginącej z głodu ludności, Cystersi otworzyli swe śpichrze i wypiekać a rozdawać jęli chleb biedakom. Dwa razy dziennie u wrót klasztornych zbierała się biedota a miłosierni ojcowie rozdawali chleb zgłodniałym. Codzień rosła ciżba biedaków, tak, że trudno było nastarczyć onego chleba. Podówczas żył w pobliżu Gdańska gospodarz zamożny, śpichrze jego pełne były zboża, dostatek wyzierał wszędy Człek to był jednak chciwy bez miary, zachłanny i twardego serca. Obojętnie patrzył jak ludzie wokół z głodu konali, a gdy się doń zwracano o ratunek drogo sobie płacić kazał za każdą miareczkę zboża. Gdy wieść się rozniosła, że dobrzy ojcowie chleb głodnym darmo rozdają, nie zaznał spokoju, zapragnął i on też ten chleb otrzymać. Przebrał się w dziurawą opończę, kij wziął do ręki i do klasztoru pośpieszył. Stanął u wrót klasztornych właśnie w chwili rozdawania chleba. Gdy przyszła kolej na niego, zbliżył się szybkim krokiem i chciwie rękę po chleb wyciągnął. Braciszek rozdający jałmużnę bystro nań spojrzał — a skądżeście wy, człeku? — zapytał — pierwszy raz was tu widzę. Zdaleka idę, zdaleka — jękliwie odpowiedział chciwiec, na swe zapylone suknie wskazując — z biedy, ojcze miłościwy. — Zakonnik usłyszawszy tę odpowiedź podał mu bochen chleba i rzekł: — Idźcie z Bogiem i pożywajcie w pokoju. Uszczęśliwiony chciwiec chwycił chleb drżącemi rękami i, kładąc go w zanadrze, mamrotał słowa podzięki. Zadowolony, że mu się tak udało, wracał szybkim krokiem do domu, układając już w myśli, kiedy i jak przebrany uda się po nowy datek do klasztoru. W tem zastąpiła mu drogę wynędzniała kobieta z dzieciątkiem na ręku.

Litościwy człowieku, poratujcie zgłodniałą, błagam choć o kęs chleba — przemówiła żałośliwie. Idź do oliwskiego klasztoru! Darmo tam chleb dają — burknął chciwiec. — A toć idę tam, idę — odparła — alem dwa dni nic w ustach prócz wody nie miała, już sił iść nie staje. Kawałeczek malutki chleba mi dajcie, bym się skrzepić mogła; jeśli nie nademną, to nad synaczkiem moim miejcie zmiłowanie — błagała. — Nie mam chleba! — wrzasnął chciwiec. — A cóż w zanadrzu niesiecie? — zapytała. — Kamień! — oburknął. Kamień — powtórzyła. — Kamień powiadacie... Ha! Niechże to kamień będzie — i z temi słowy zniknęła z przed oczu przerażonego człeka. Drżącą ręką sięgnął w zanadrze, gdzie chleb miał ukryty i wielkim głosem zakrzyknął — chleb — jak rzekła niewiasta — w kamień się zamienił!

Skruszony chciwiec, widząc w tem zjawisku palec Boży, zawrócił do klasztoru, wszystko wyznał i nie poprzestał na tem, bo powróciwszy do domu stał się opiekunem wszelkiej biedoty. A chleb w kamień obrócony umieszczono w kościele oliwskim na wieczną rzeczy pamiątkę.

H. Rostafińska-Choynowska.

SPOTKANIE

Idzie, idzie po l'steczku
Biedronka, biedronka
I spotkała swego kuma
Pająka, pająka.
Ona w kropki sukieneczkę,
On zieloną ma kurteczkę
Na sobie, na sobie.

Jak się miewa moja miła
Kumosia, kumosia?
Nieszczególna pono jesień
Latosia, latosia.
Wiatr i deszczyk zacina
Rwie mi się pajęczyna
Co zrobię, co zrobię.

Święte słowa kumoterka
Pająka, pająka.
Już stęskniłam się rzetelnie
Do słonka, do słonka.
Pochowały się gdzieś mszyce,
Czemże ja mój głód nasycę?
Kto to wie... Kto to wie...

Popatrz kumciu, słonko chmury
Rozprasza, rozprasza.
Skończyła się cała bieda
Ta nasza, ta nasza.
Na zielonym na listeczku,
Gwarzą niby na ganeczku
Kumowie, kumowie.

H. R. Ch

ŻYCZENIE

Moja najdroższa dzieweczko
Bądź pogodna jak słoneczko,
Pomocna ludziom w potrzebie
Wszyscy będą kochać ciebie.
Pogodna w pracy, w zabawie,
Każdą czynność łącz z piosneczką,
Myśl o drugich nie o sobie —
Taką chcę cię mieć córeczko.
Uśmiechem spotykaj ludzi,
Z wiarą zwracaj się do Boga,
Wszystkim wtedy będziesz miła,
Moja ty dzieweczko droga.

H. R. CH.

Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów. **Redaktor: Józef Czarnecki**
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

CZWARTY KONKURS KWARTALNY.

Po ukończeniu w numerze wrześniowym II Konkursu Kwartalnego, przystępujemy obecnie do następnego, pod warunkami poprzednio podanemi.

Termin nadsyłania rozwiązań z każdego numeru *trzytygodniowy* licząc od daty otrzymania numeru.

1. SZARADA.
(4 pkt.)

O nieszczęśliwy
drugi-czwarty-pierwszy,
Co tkwisz nad wodą
aż do późnej nocy,
Czekając, aż ci
głupia *druga-czwarta*
Trapiona głodem
da się wreszcie złapać!..
To sport wątpliwy!
Dam ci szlachetniejszy, —
Masz trochę grosza?...
pędź zatem jak z procy
Tam, gdzie jest Narocz,
Pierwsze-trzecie, Warta!
Masz ruch i przestrzeń —
i nie trza ci człapać
W jednem wciąż miejscu
na bagnistej rzece!
Zwiedź Polskę całą,
poznaj kraj rodzinny, —
A wnet zrozumiesz,
jak to ja dalece
Miałem dziś rację!
Pierwszy-czwarty zwinny
Wszędzie-ć usłuży,
a jego zaś żona
Da ci z *raz-drugiej*
przysmaczek prawdziwy...
(Jeżeli wolisz —
może być pieczona!)
Gdy już obejrzysz
wszystkie w Polsce dziwy
Przyrody, wracaj
do dom odmłodzony,
Swe *czwarte-drugie*
wyprostuj wspaniale.
A gdybyś nie czuł
się bardzo zmęczony,
I by nie przyszły,
na cię późne żale,
Odwiedź po drodze
polskie *czwarte-pierwsze*
I poznaj źródło
nowoczesnej siły.
Będziesz w ten sposób
mieć pojęcie szersze
O skarbach naszej
Ojczyzny przemiłej.
Mając *wy-dwa-trzy*
obraz polskiej ziemi
Głęboko w sercu, —
pamiętaj i o tem,
Że są Polacy
i między obcymi,
Którzyby chcieli
powrócić z powrotem
Do swej Ojczyzny!...
— *Cztery-trzy* *) niedoli
Ich tam zagnały.
Liczba ich niemała:
Jedni są na wsi,
pracują na roli,
Drudzy po miastach,
jak: Chicago, *Cala...* —

A. Mieczkowski, Wilno.

---

*) *czwarte-trzecie.*

2. WIRÓWKA
(4 pkt.)

W każdej kratce podanej niżej figury wpisać należy dookoła cyfr litery, tak aby powstały 6-literowe wyrazy o podanem znaczeniu, czytane w kierunku zegara. Początek każdego wyrazu do odgadnięcia.

Znaczenie wyrazów: 1. Grecka bogini księżyca i czarów. 2. Człowiek ułomny. 3. Żona Menelausa. 4. Przyrządy do ćwiczeń gimnastycznych. 5. Górne wycięcie u sukienki. 6. Szkło na oczy. 7. Zwierz drapieżny z rodzaju psów. 8. Nauka o prawidłowem myśleniu. 9. Olbrzymi Filistyn pokonany przez Dawida. 10. Narzędzie do kopania. 11. Przywóz towarów z zagranicy. 12. Rzeka w Anglji.

K. Kolaczkowa, czł. Kl. Szar.

LISTA UCZESTNIKÓW I KONKURSU KWARTALNEGO.
(Ciąg dalszy)

W numerze wrześniowym podaliśmy początek listy uczestników (z podaniem ilości zdobytych punktów), obecnie podajemy jej koniec:

Nowaczkówna J. Starosielce (9), Dr-owa Opielińska H. Środa (24), Paczewski A. Kielce, z rysunkami (26), Pieracki Z. Wilno (15), Poroch E. Sielce (11), Rawska B. Warszawa (12), Reiss J. Złoczów (28), Rutkowska I. Mińsk M. (24), Sipowicz M. Łuniniec (19), Słaboszewiczowa F. Poznań (9), Sławnicki T. Królewszczyzna (19), Słowikówna B. Warszawa (15), Surma J. Białystok (19), „Szaulis” Warszawa (28), Szynkaruk J. Siedlce, z rysunkami (28), Tarczyłło L. Wilno (14), Tietz Z. Warszawa (19), Turek G. Warszawa (15), Tymiński B., Wólka sz. (8), Uchwat S. Warszawa (16), Waksmundska M. Jasło (28), Warszałowa J. Lwów (20), Inż. Wieliczko E. Pińsk (28), Wysocka K. Warszawa (21), Zalewska M. Warszawa (9), Żądłowska Z. Przechowo (5).

Zgodnie z warunkami konkursu przypadły nagrody nast. osobom:

Konkursowe (książki):
p. Kortylewicz Wiktor, Poznań,
p. Łopatto Jerzy, Warszawa,
p. Kozłowska Hanka, Warszawa;

miesięczne (książki):
p. Drabętowiczówna Stef., Poznań,
p. Bielenia Jerzy, Warszawa;

prenum. bezpł. na IV kw. 1932:
p. Wieliczko Eugenjusz, Pińsk,
p. Miłowski Edmund, Poznań;

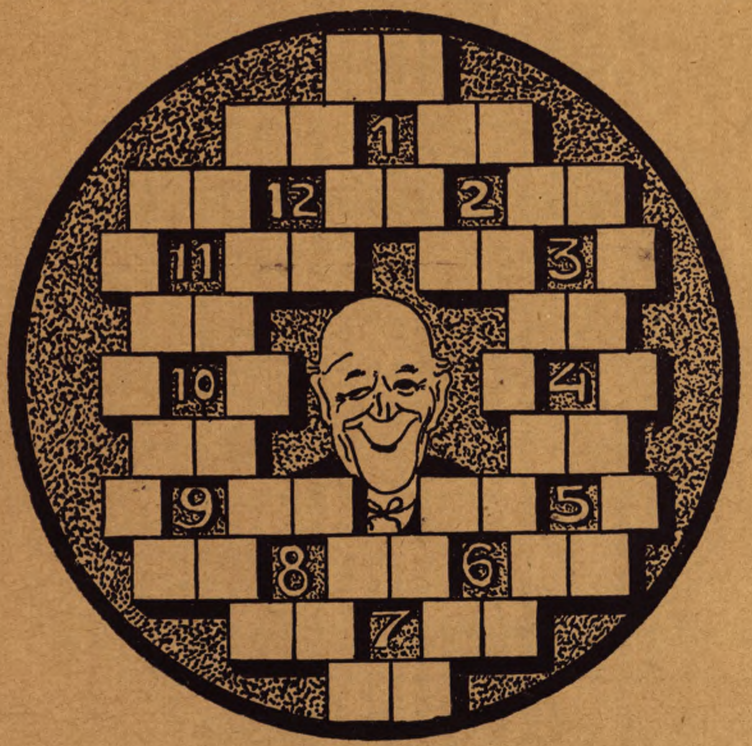
specjalna za rozw. rys. (ks.):
p. Szynkaruk Józef, Przewłoka;

pocieszenia (ks.):
p. Kupny Stanisław, Brzeziny Śl.;

autorska (ks.):
p. Ciesielski Ludwik, Warszawa.

Nagrody wyżej wymienionym zostały rozesłane. Równocześnie komunikujemy, że zaległe nagrody z kwartałów poprzednich zostały obecnie również rozesłane, a to pp.: J. Luchtowej w Lipowcu, J. Kwiekowej w Dobrzelinie, H. Mokrzyckiej w Drohobyczu, dr. H. Opielińskiej w Środzie, K. Fuhrmanównie w Krotoszynie, „Marysi z Pohulanki”, J. Reissowi w Złoczowie, Z. Pierackiemu w Wilnie, — oraz Z. Jastrzębskiej, S. Mikowskiej, M. Zalewskiej, N. K. Kozłowskiemu w Warszawie. Również bezpł. prenumeraty zaliczono pp.: St. Millerowej w Łęcznie i K. Denasiewiczowi w Drohobyczu na III kw. i M. Waksmundzkiej w Jaśle, E. Wieliczce w Pińsku i E. Miłowskiemu w Poznaniu za IV kw. 1932.

M. Sł.



(Dok. ze str. 2-giej okładki).

drodze. A kto wie, do jakiej doskonałości dojdziemy jeszcze w dziedzinie radja i lotnictwa — dodał Żwirko, spojrzawszy na zegarek.

— Wiele pytań ciekawych zadaje mi pan, chciałbym na nie odpowiedzieć po namyśle, a tu czas uciekł. Możebyśmy je sobie spisali i omówili później, powiedzmy po moim powrocie z Pragi. Lecę tam jutro, a wrócę do Warszawy w poniedziałek. Umówmy się naprzykład na wtorek. Czy zgoda? — rzekł porucznik Żwirko.

— Ależ naturalnie, poruczniku, i tak jak na pierwsza rozmowę wykorzystałem pańską uprzejmość.

Wyściskałem mu prawicę rzetelnie i zabrałem się ku wyjściu, już minąłem może ze dwie sale Aeroklubu, gdy on wybiegł za mną i jeszcze raz przypomniał, bym mu dostarczył resztę pytań nazajutrz rano, aby miał czas przygotować odpowiedzi, gdy wróci z Pragi.

— — — — — — — — — — —

Dowiedziałem się nazajutrz, że porucznik Żwirko nie odleciał do Pragi w sobotę 10-go września o godz. 1-ej po południu, jak zapowiadał i że odlot odłożył do niedzieli 11-go września.

Dwadzieścia cztery godziny potem całą Polską i światem lotniczym wstrząsnęła straszna wiadomość.

— Porucznik Franciszek Żwirko i jego prawie nieodłączny towarzysz inżynier Stanisław Wigura zginęli śmiercią lotników na tym samym zwycięskim „RDW-6“ pod Cieszynem w niedzielę 11-go września około godziny 8-ej rano.

Jak meteor zabłysnął na polskiem niebie i jak meteor zgasł ten prawdziwy bohater polski, a tak rozbrajająco skromny człowiek.

A ja wciąż czuje na sobie spojrzenie Wielkiego Lotnika i słyszę jego słowa:

—„...dziękowaliśmy Bogu w Ostrej Bramie — wszystko jest w Jego rękach“...

Oto ostatni wywiad dziennikarski porucznika Żwirki. Ostatni i niezakończony.

KSIĄŻECZKA NA CZASIE.

Ze względu na zbliżający się miesiąc zmarłych polecamy naszym czytelnikom książeczkę do nabożeństwa, poświęconą duszom zmarłych p. t.: **„Błogosławieni miłosierni“.** Książeczka ta poza zwyczajnemi nabożeństwami zawiera wskazówki dotyczące nabożeństwa za zmarłych jak również uwagi na temat odpustów i śpieszenia z pomocą duszom w czyśćcu przez ich zyskiwanie. Cena książeczki obniżona została ostanio ze względu na trudne warunki dzisiejsze.

Oprawa skórkowa z 6.25 na 5.00 zł.
Brzeg czerwony z 3.00 na 2.00 zł.
Brzeg złoty z 4.00 na 2.50 zł.

Często się zdarza, że człowiek obojętnie mija budynek przeznaczony dla użyteczności publicznej, nie zastanawiając się zupełnie, do jakiego celu ma on służyć i jaką korzyść ma z niego społeczeństwo.

Weźmy dla przykładu każdemu znany skromny urząd pocztowy na prowincji.

W całej Polsce nie znajdzie się ani jednego człowieka kulturalnego, któryby wielokrotnie nie korzystał z usług tej pożytecznej instytucji; każdy przecież człowiek piśmienny pisze i odbiera listy, a oprócz tego wszak ta sama poczta dostarcza gazety do najdalszych zakątków kraju.

A pomimo to nie każdemu jest wiadomo, że prócz tych czynności każdy urząd pocztowy bierze czynny udział w życiu ekonomicznem, przyczyniając się do gospodarczej odbudowy Państwa.

Każdy najmniejszy nawet urząd pocztowy przyjmuje wpłaty i dokonywa wypłat z książeczek oszczędnościowych P. K. O., oraz przyjmuje ubezpieczenia na życie w tej największej Instytucji oszczędnościowej w Polsce.

Znane przysłowie, że „ziarnko do ziarnka zbierze się miarka” znajduje tu potwierdzenie 945.524 osób, które składają swoje najczęściej drobne bardzo oszczędności w P. K. O. złożywszy olbrzymi kapitał 552 miljonów, który pracuje dla pożytku całego społeczeństwa.

Każdy o tem wiedzieć powinien i zamiast narażać swoje ciężko zarobione pieniądze w domu na kradzież lub zniszczenie, niech składa je na książeczkę oszczędnościową P. K. O.

Najbliższy urząd pocztowy przyjmie je i wyda książeczkę P. K. O., tej największej instytucji oszczędnościowej w Polsce, która dając całkowitą pewność powierzonym kapitałom, jednocześnie zapewnia największe wygody składającym.